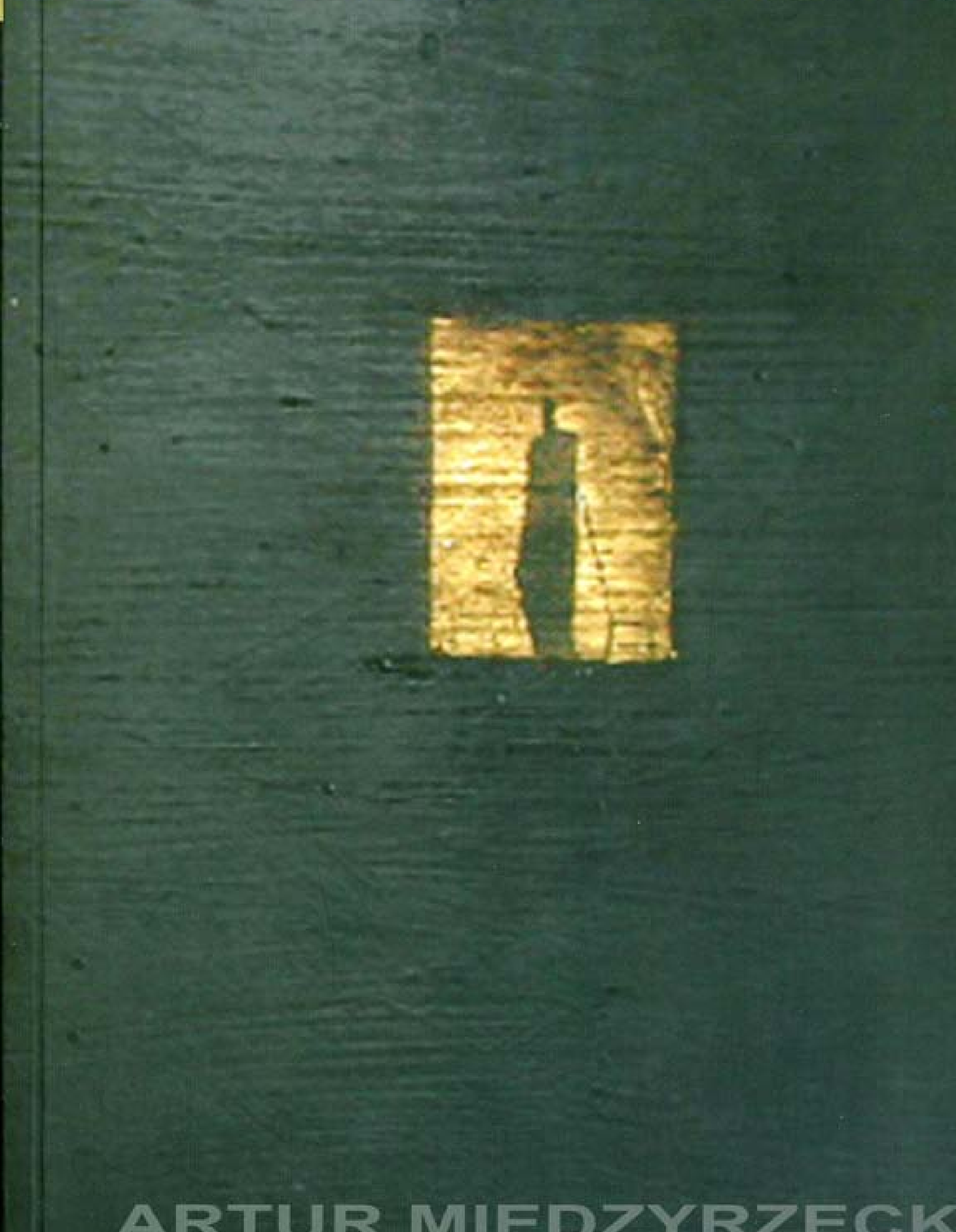
KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

kujawy i pomorze 2007 nr 3 (55)



ARTUR MIĘDZYRZECKI

ARTUR MIĘDZYRZECKI

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

k u j a w y i p o m o r z e 2 0 0 7

nr 3 (55)
Rok XIV

Spis rzeczy

JULIA HARTWIG Zona / 3 Grób Keatsa / 4 Bagatelka / 4
Uścisk / 5

ARTUR MIĘDZYRZECKI Czuwanie / 6

JULIA HARTWIG Bieg bez tchu / 7

ARTUR MIĘDZYRZECKI Wizyta / 22

ARTUR MIĘDZYRZECKI (6.XI.1922–2.XI.1996) Biografia / 23

Nota do wymiany listów między ARTUREM MIĘDZYRZECKIM i CZESŁAWEM MIŁOSZEM / 27

List CZESŁAWA MIŁOSZA do ARTURA MIĘDZYRZECKIEGO / 28

Listy ARTURA MIĘDZYRZECKIEGO do CZESŁAWA MIŁOSZA / 30

List ARTURA MIĘDZYRZECKIEGO do ANDRZEJA i KAZIMIERY KIJOWSKICH i dołączony list JULII HARTWIG / 41

Notatka wstępna do fragmentów *Dziennika* Artura Międzyrzeckiego / 53

Fragmenty *Dziennika* Artura Międzyrzeckiego / 54

ARTUR MIĘDZYRZECKI Antares / 66

Słowo wstępne do listów Artura Międzyrzeckiego do żony, Julii Hartwig, z Paryża, październik, listopad 1969 / 67

Listy Artura Międzyrzeckiego do Julii Hartwig z Paryża z 1969 roku / 68

Listy Julii Hartwig do Artura Międzyrzeckiego podczas jego pobytu w Paryżu w październiku i listopadzie 1969 roku / 82

ARTUR MIĘDZYRZECKI Adelajda / 90

ARTUR MIĘDZYRZECKI Fotografie z albumu rodzinnego / 91

JULIAN KORNHAUSER Gra z językiem w poezji Artura Międzyrzeckiego / 99

Głosy i glosy o Arturze Międzyrzeckim / 111

ALEKSANDER JUREWICZ Ktoś dystyngowany / 111

WOJCIECH LIGĘZA Dykcjonarze i aforyzmy. Fragment o Arturze Międzyrzeckim / 111

PIOTR MATYWIECKI Litania do ziemi / 116

ARKADIUSZ MORAWIEC Orfeusz Międzyrzeckiego (w piekle XX wieku) / 117

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI Pan Artur / 121

ANNA NASIŁOWSKA O Arturze Międzyrzeckim / 122

LESZEK SZARUGA „Ogrodnik wojennych sezonów” / 125

PIOTR SZEWC Klucze nad łąką / 129

Varia

MICHAŁ GŁOWIŃSKI Małe szkice / 131

JULIAN KORNHAUSER Moje lektury poetyckie (2) / 134

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI Addenda (6) / 140

TADEUSZ RÓŻEWICZ Wypowiedź o literaturze małych narodów / 149

LESZEK SZARUGA Jazda (3) / 151

PIOTR SZEWC Z powodu i bez powodu (8) / 158

ZBIGNIEW ŻAKIEWICZ Ujrzane, w czasie zatrzymane (30) / 164

Recenzje

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI Popioły / 171

KRYSTYNA RODOWSKA Kochałam Francję / 176

ADAM POMORSKI Rosja, ale jaka? / 180

Noty o książkach / 186



Fot. Elżbieta Lempp

Julia Hartwig

Zona

Oddech wszechświata był ciężki
Jeżeli coś jeszcze szło za dyktandem sztuki
to sen
Ale i on był zbłąkany

Zimne stopnie wędrówki
Coraz mniej zrozumiałej

Wszyscy pragnęliśmy wyzwolenia
z założonych sobie pęt
i paragrafy były już gotowe
ale żadnej ulgi

Wyczerpywały się resztki dawnych słów
Czegoś szukaliśmy
zawstydzeni i upokorzeni

Grób Keatsa

Melancholia młodego Keatsa
która jak słoneczny mglisty opar
unosi się nad jego grobem
na rzymskim wzgórzu

Porzucisz go zaraz żeby w ślad za Iwaszkiewiczem
spojrzeć na grób rosyjskiej niani
którą pochowały tu wdzięczne emigranckie dzieci

Ten Iwaszkiewicz!
On nie wahał się przyznać
że lubi odwiedzać stare cmentarze

Wielkość nie ma skrupułów
by rozprawiać o tym co w nas nadpsute
Nie kryje swoich nienawiści ani przyjaźni

Respekt! To hasło Goethego które podjął Miłosz
Umiał cenić u innych to czego jemu zabrakło
Ale gdyby to posiadł czy byłby sobą

Bagatelka

Dziecinny tupot nóżek sonatiny Ravela
O czymś zapomniała i wraca
czegoś zapomniała i wraca
zamyśla się ale nie staje
biegnie wciąż biegnie
Zaczarowane trzewiczki
nie przestają wciąż tańczyć

Aż wreszcie zrzuca je bez żalu
I staje boso

Uścisk

W objęciach świata
niewygodnych okrutnych
z których chciałbyś uwolnić się
pragnąc zarazem trwać w nich wiecznie
To objęcia miłosne
Życie, twój uścisk zbyt mocny.

Julia Hartwig

Artur Międzyrzecki

CZUWANIE

Kto i o co nas pyta? Z tej czy nie z tej ziemi
Te bielma są na oczach i ta łza pod rzęsą?
Skąd ten chór białych głosów gdy w półśnie zwinięty
Powolne duchy chwiejne w kołysce po mgło?

Kto wędrował i zasypia? Kto zasnął i nie wie?
Który anioł dzieciństwa okrywa tam go osłania?
Czyja ręka otwarta w galaktyki drzewie
Sypie mu gwiezdną kaszę i proszki do prania?

I czyje usta mówią na wysokim niebie?
Czyja ta pasyflora? Gdzie ten wąwóz cierni?
Dlaczego musisz umrzeć by wrócić do siebie
Kochanku wiatrom w polu tak zawrotnie wierny?

I skąd ten śpiew? te szepty z czego są i o czym?
Gapo słodka słowiczku co nie w porę klaska
Śpi świat pijany winem zamrużywszy oczy
I ~~[illegible]~~ rzęzi w telewizji swatka tabloidzka

Julia Hartwig

Bieg bez tchu

Jakkolwiek nieoczekiwany wydać się może ten tytuł,
tak właśnie widzę jego życie

(j.h.)

„Prawie całe moje dojrzałe życie pisarskie składa się z porzucania przyswojonych form i przechodzenia do innych zamysłów i rejestrów. To, co je łączy, wynika zapewne z tożsamości trwalszej niż okoliczność. Niemniej jednak, czytając własne publikacje sprzed lat, z reguły uzmysławiałem sobie dystans między pozostawionym za sobą okresem a nowym przebiegiem myśli."

Tak pisał Artur Międzyrzecki w 1979 roku we wstępie do *Poezji wybranych.*

Lektura tomów poetyckich Artura Międzyrzeckiego, w porządku czasu w jakim się ukazywały, potwierdza tę autorefleksję. Kształt, jaki osiągnął poeta w tomach ostatnich, wskazuje na kierunek jego poszukiwań, który tak w tym samym wstępie formułuje:

„Staram się być przejrzysty. Nie zawsze tak było. Zmącony i ponaglający świat zdawał się żądać od poezji tekstów na miarę swoich zawrotnych rów-

noczesności, wieloznacznych i krzyżujących się z sobą strumieni słów i obrazów. Ale oddalało to od przejrzystości, do której zapragnąłem powrócić". Ostatni tom, jaki zdążył jeszcze sam zredagować w roku 1996, nosi właśnie tytuł *Nieskończona przejrzystość*. Od wydanych w Paryżu w roku 1949 *Stron przydrożnych* dzieli go niemal pół wieku. Była to meta, do której poeta dotarł po wielu doświadczeniach z życiem i poezją. To stopniowe przeobrażanie się i oczyszczanie własnej poetyki ze „strumienia słów i obrazów" sprawia, że mamy do czynienia jakby z nowym poetą.

Drogę Artura Międzyrzeckiego znaczą nie tylko jego kolejne zbiory poetyckie, ale także rozważania o poezji, zawarte w *Poezji dzisiaj* (PIW, 1964), *Dialogach i sąsiedztwach* (PIW, 1971) i licznych wypowiedziach późniejszych, które odegrały znaczną rolę w kształtowaniu się gustów i upodobań literackich poetów pokolenia młodszego, których twórczość uważnie śledził. Redagował też wychodzący wówczas corocznie „Almanach młodych", który stanowił wybór najciekawszych debiutów, opatrzony wstępem A.M.

Stanisław Grochowiak tak pisał o *Poezji dzisiaj*:

„Pomiędzy spontanicznym i pełnym uporu piśmiennictwem rzeczników awangardy i futuryzmu a zaskakującym milczeniem młodych poetów powstała książka Artura Międzyrzeckiego. Już samo usytuowanie określa graniczny, kompromisowy jej charakter. Bogiem a prawdą, trzeba jednak powiedzieć, że postawa Międzyrzeckiego wydaje się być bliższa realizmowi Audena, aniżeli entuzjazmowi Przybosia. Wskazuje na to już sama stylistyka *Poezji dzisiaj*, biegunowo różna od wysokiego tonu, do którego przyzwyczaili nas poeci dawnej formacji. (...) Międzyrzecki dysponuje erudycją, która nie ma sobie równej we wszystkich znanych mi publikacjach tego typu. Co ważniejsze, jest to erudycja pełna swobody, lekkości, niewymuszenia. Zazwyczaj dziełka tak nasycone wiedzą, zmuszają nas do niegrzecznej podejrzliwości lub ironicznego grymasu wobec pedantycznych kolekcjonerów fiszek. U Międzyrzeckiego inaczej: różnorodne cytaty wskazujące na znajomość kilku języków i setek pozycji bibliograficznych, pojawiają się w zestawach tak logicznych, tak uzasadnionych, jakby to wszystko pochodziło «z głowy». I od razu uczucie ulgi: człowiek, który dysponuje aż taką wiedzą, na pewno nie chce nas ani zadziwić ani otumanić".

Jak widać z artykułu Stanisława Grochowiaka, który ukazał się w „Kulturze" w roku 1964, toczyła się wówczas batalia o kształt poezji, a uczestnikami jej byli poeci generacji działającej już przed wojną; wśród protagonistów znaleźli się Anatol Stern i Julian Przyboś, w sporze uczestniczył też Mie-

czysław Jastrun, jako *advocatus diaboli* występował chwalony przez jednych, a ganiony przez innych za brak poetyckiego słuchu Artur Sandauer. Spór toczył się wśród poetów o określonym programie i ustalonym już miejscu w pisarskiej społeczności. Międzyrzecki, poeta debiutujący w Polsce w latach pięćdziesiątych, pojawiał się w tym sporze jako człowiek nowy, ale dobrze przygotowany do dyskusji. W swojej książce *Poezja dzisiaj*, a także w zbiorze szkiców wydanych w kilka lat później, ukazuje wielość propozycji, jakie przedstawiała poezja europejska w osobach takich jak Eliot, Pound, Auden, Eluard, Aragon, Emmanuel, Bonnefoy, Mandelsztam, Montale, Saba, Ungaretti, Illyés, Machado. Utwory niemal wszystkich tych poetów, których tłumaczył w późniejszych latach, znalazły się w wyborze przekładów *Rimbaud, Apollinaire i inni* (Czytelnik, 1988). Kilkuletni pobyt w Stanach Zjednoczonych, gdzie prowadził kolejno na dwóch uniwersytetach zajęcia ze współczesnej poezji europejskiej, skłonił go do przygotowania pierwszej u nas antologii poezji amerykańskiej, której przedsmak dały nam tuż po wojnie przekłady Czesława Miłosza.

Najbliższa była Arturowi Międzyrzeckiemu idea „poematu otwartego". Poemat otwarty znaczyło też: otwarty na świat. Zamknięcie się w rejonach samej „literatury" było dla A.M. nie do przyjęcia. Pisze w *Poezji dzisiaj*: „Nasz czas, po tym wszystkim, co się stało, jest także czasem osobowości ludzkiej, która – niekiedy z rozpaczą, lecz także z niewygasającą nadzieją – szuka nowego scalenia. Człowiek cały na jawie i w śnie. Równie uniwersalny jak konkretny. Poezja nowa jest otwarta i nie do pogodzenia z zamkniętymi konwencjami stylu. (...) Sztuka bez ciągłości nie znaczy nic, kierunki awangardowe mają nie tylko poważne zasługi w burzeniu form zużytych, mają także swoje zasługi pozytywne i konstruktorskie – i mają również swych antenatów. (...) Stosunek nowej poezji do wartości klasycznych jest zarówno nieustającym nawiązaniem, jak nieustającym pożegnaniem. I jest także historyczną lekcją wyboru między nawiązaniem i epigoństwem, pomiędzy nowością rozległą a zewnętrznym sposobem". Przez całe życie zafascynowany był mitem orfickim i swoją wiedzę o orfizmie wciąż poszerzał. Znalazło to wyraz w jego eseju o Rilkem i orfickich urzeczeniach Apollinaire'a. Tajemnicze wierzenia związane z tą postacią przyciągają wielu poetów, podobnie jak zagadkowe i mroczne teksty orfickie Heraklita z Efezu.

Jego własna poezja coraz bardziej zbliża się do wyrażania nośnych treści, które właśnie owej przezroczystości i jasności wymagają. Pisze w szkicu *Słowiarze i ślusarze*:

„I właśnie w tej konfrontacji ze światem widać ten oryginalny rys polskiej twórczości, jakim jest – zwłaszcza w poezji – intymny stosunek do historii, naturalnie stowarzyszony z prywatnym życiem i równie naturalna współobecność w jednym przesłaniu wątków społecznych i najbardziej intymnych wartości uniwersalnych i lokalnych, zasady nowości sztuki i zasady jej narodowej tożsamości.

Od roku 1918 do dzisiaj współżycie tych zasad i wątków do głębi przenika poezję polską, której naturalny historyzm – w niespotykanym gdzie indziej natężeniu – świadczy zarazem o żywotności romantycznego dziedzictwa i jej mickiewiczowskiego modelu".

Międzyrzecki odnajduje się w tym nurcie, wnosząc zarazem styl własny i rozpoznawalny. Aluzja historyczna powraca nierzadko w jego poezji, a wyrazistym przykładem tego myślenia poprzez historię są takie wiersze jak *Piwo z Żywca, Rzeka czarownic, Fokion i Demostenes*, czy *Racja bytu*. Nie trzeba jednak szukać przykładów aż tak wyrazistych, by odnaleźć w wierszach A.M. aluzje historyczne. Sam już zresztą zapis współczesności w jego wierszach, przy całej ich intymności lirycznej, daje obraz naszego świata nie tylko z jego nostalgią, ale też z naszą wiedzą i niewiedzą, w której zaplecze techniczne, i tak zwana nowoczesność, z pojawiającym się warkotem samolotów i głosami stewardes, nie jest pominięta. Osobne miejsce zajmują obrazy polskich nieheroicznych dramatów, które z takich wierszy jak *Śpiewnik listopadowy* czynią rodzaj dokumentu.

Napisany i wydany w 1983 roku tom *Wojna nerwów* – z cytowanym często wierszem *O spireo, forsycjo/jadą wozy z milicją*, a także *O czym wie politolog* i *Habeas corpus* – związany z okresem politycznego i moralnego gwałtu dokonanego na społeczeństwie, jakim był stan wojenny, uderza pozorną lekkością tonu, który o wiele skuteczniej niż wojownicze lub żałobne pienia odpowiadał potrzebie chwili. Ryszard Przybylski uważa, że „książka ta przesuwa akcenty w całej twórczości poety".

Marek Zaleski pisze o *Wojnie nerwów* w „Tygodniku Powszechnym":

„Właśnie te epigramatyczne wiersze przynoszą to, co w poezji Międzyrzeckiego jest najbardziej własne i – myślę – najcenniejsze, pełne elegijnego, lirycznego, a czasem sowizdrzalskiego humoru, melancholijnej autoironii i stoickiej pogody ducha. Pod tym względem *Wojna nerwów* jest przykładem doskonałego poetycko spełnienia. (...) Filozoficzny humor stanowi bowiem antidotum przeciw truciznom naszego wieku, doraźnością, fanatyzmem i rozpaczą. (...) Właśnie historia jawi się autorowi jako proces postępującej

degradacji wartości, wcielenie ponurego fatalizmu. Pozwala wymknąć się spod tyranii historii i uniknąć pułapek myślenia doraźnego, skażonego fanatyzmem i rozpaczą. (...) Wszystko na narodowej scenie powtarza się niczym w odwiecznym kalendarzu natury: te same spory, i te same klęski, te same «szpargały legend we krwi»".

„Sprzeczności załagodzone na planie filozoficznym zjawiają się dramatycznie żywe w postaci pytań egzystencjalnych. Życiorys staje się niespójny i zagadkowy, powracają emocje, których na pozór udało nam się wyzbyć, wspomnienia, których najlepiej nie dzielić z nikim. Opowieść się zaciemnia, kamienieje wyobraźnia. I tak jest w wielu wierszach tego tomu."

Marek Zaleski trafnie i z wielką wrażliwością odnotowuje podwójność nurtu przewijającego się przez poezję A.M.: wyrazistość postawy etyczno-społecznej obok nierozstrzygalnych pytań dotyczących osobistego istnienia.

Włodzimierz Bolecki widzi w tej poezji „gwałtowne zapadanie się urwiska czasu, rozległych obszarów doświadczeń prywatnych i społecznych".

Krzysztof Siwczyk pisze po ostatnio wydanym zbiorze wierszy wybranych przez Wisławę Szymborską: „Poezja jest dla Międzyrzeckiego obszarem intelektualnej spekulacji i miejscem, gdzie rozważa się podstawowe kwestie ludzkiej egzystencji. Ambiwalencja pytań, jakie jednostka stawia sobie i światu, czy wreszcie śmierci, świadczy o wyjątkowo otwartym charakterze tego pisarstwa (...) Wiersze mienią się nieuchwytnymi, zjawiskowymi obrazami z pogranicza jawy i snu, dawnych wspomnień i bardzo ostrożnych prognoz na przyszłość".

Przybylski pisze: „Międzyrzecki rozważa w swej poezji możliwość zachowania człowieczeństwa i godności. Także w obliczu zagrożenia".

Poetyka poematu otwartego i jasności z góry niejako wyklucza zabawy słowne i zbytnią kombinatorykę wprawek formalnych. Nieprzypadkowo używa Międzyrzecki określenia „słowiarze" i przypomina, że w okresie nacisku władz na literaturę igraszki formalne były traktowane pobłażliwie, jako mniej niebezpieczne niż mowa wprost. Nie znaczy to, że sam nie ulega pokusie tworzenia własnego słownictwa, z wprowadzania wyrażeń potocznych, kolokwializmów, nawet gminnych. Można śmiało powiedzieć, że słowa go kuszą, korzysta z ich rozmaitości, z prawa rozporządzania nimi, czasem w sposób najmniej oczekiwany. Często taki rodzaj potocznego słownictwa podsuwają mu emocje, zwłaszcza negatywne, przyspieszające tok poetyckiej mowy. Bywają to raczej połajanki niż wykwity wyobraźni (na przykład mówiąc o zarozumiałych autorach tandety poetyckiej używa słowa „poheci").

Tak czy inaczej, pole językowych ćwiczeń ulega w ostatniej fazie twórczości całkowitemu oczyszczeniu.

Z okazji pojawienia się *Dzienników i wspomnień* (1999), Marek Zaleski pisze: „Międzyrzecki jest dziś potrzebny". I to stwierdzenie wybiega już poza granice literatury, mówi o odczuwalnej potrzebie ludzi oddanych sprawom kultury i czynnie o nie walczących. Jego głos nie ogranicza się do niepokojów dotyczących domeny twórczości, nie traci żadnej okazji, by występować w obronie bezkarnie szkalowanej inteligencji polskiej. Powraca do tego tematu w wypowiedziach publicznych, ustnych i prasowych. („Nowa Res Publica", styczeń 1991: *O demokracji i antyinteligenckiej furii*). W nagłośnieniu sprzeciwu wobec lekkomyślnego, a często nawet rozmyślnego niszczenia i marnotrawienia zasobów kultury pomagają mu sprawowane przez niego funkcje społeczne – prezesowanie w Ogólnopolskim Komitecie Porozumiewawczym Stowarzyszeń Twórczych i Towarzystw Naukowych, a także w polskim PEN Clubie, który pod jego kierownictwem rozwinął się na nieznaną dotąd skalę – jak pisał Jacek Bocheński. Na spotkaniach PEN Clubowych sala jest zawsze wypełniona, wśród prelegentów pojawiają się ludzie o społecznym autorytecie: Tadeusz Mazowiecki, Jerzy Turowicz, Bronisław Geremek, Jan Nowak-Jeziorański, Leszek Balcerowicz, Ryszard Kapuściński, Leszek Kołakowski, Gustaw Herling-Grudziński; wśród pisarzy zagranicznych: Umberto Eco, Tomasz Tranströmer, Tomasz Venclova, Mario Luci, Allen Ginsberg, a także laureaci Nobla: Czesław Miłosz, Josif Brodski, Seamus Heanney; szczególnego znaczenia nabiera spotkanie z Szymonem Wiesenthalem.

Pasje społeczne łączy Międzyrzecki z wytrwałą pracą twórczą. I choć czuje się przede wszystkim poetą, jest również prozaikiem, eseistą i tłumaczem. Pod koniec życia ma w swoim dorobku kilkanaście książek prozatorskich i eseistycznych, kilkanaście tomów poetyckich, nie mniej tłumaczeń, wśród których znalazły się między innymi poezje Salvatore Quasimodo, Antonia Machado, Gyulii Illyésa, E.E. Cummingsa. Twórczość translatorska zajęła w zatrudnieniach Artura Międzyrzeckiego miejsce wyjątkowe, zarówno ze względu na ilość przyswojonych utworów jak i na ich rangę. Wypowiadał się też wielokrotnie na temat teorii i praktyki przekładu również na forum międzynarodowym.

Francuskiej literaturze, a zwłaszcza poezji przysłużył się może najwięcej. Zaczął od *Elzy* Aragona (i *Wieśniaka paryskiego*), przełożył *Sezon w piekle* i *Iluminacje*, a także – z Julią Hartwig – *Korespondencję* Artura Rimbauda. Wraz z tą samą współtłumaczką wydał obszerny tom nieprzełożonych dotąd

wierszy Apollinaire'a (*Nowe przekłady*) i zbiór opowiadań *Poeta zamordowany*. Z francuskich poetów współczesnych przełożył poezje Yves Bonnefoya, poematy prozą René Chara i – ze Zbigniewem Herbertem – wiersze André Frénauda. W jego tłumaczeniu ukazało się też *Miłosne wtajemniczenie* Oskara Miłosza. Miejsce szczególnie szacowne na tej liście zajmuje *Fedra* Racine'a i *Szkoła żon* Molière'a.

Tematem pierwszej jego książki prozatorskiej noszącej tytuł *Opowieści mieszkańca namiotów* były przeżycia wojenne jej autora w oddziałach walczących na Zachodzie. Napisana w stylu gawędziarskim, bez patosu i zbędnej heroizacji, pełna humoru, książka zyskała sobie wdzięcznych odbiorców i podobnie jak następna, *Powrót do Sorrento*, była kilkakrotnie wznawiana. Jest to zbiór opowiadań osnutych na relacji z podróży, odbytej po latach do kraju, zobaczonego po raz pierwszy oczami żołnierza biorącego udział w kampanii włoskiej. Podróżny „powracający do Sorrento" nie szuka wspomnień wojennych, chodzi po ulicach odnajdując znajome brzmienie włoskiego języka, oddycha swobodą, zwiedza muzea, na pamięć uczy się Rzymu, odnajduje smak kultury śródziemnomorskiej, której do końca będzie wierny. Jednak wspomnienia się tłoczą, przybliża się nie tylko czas przeżyty w armii, także lata spędzone po demobilizacji, w pokoiku hotelowym na paryskim Montmartrze. Niedawna przeszłość idzie krok w krok za pisarzem w tej włoskiej podróży.

W roku 1963 wychodzi w Czytelniku zbiór opowiadań *Śmierć Robinsona*, które tak określa wydawca na skrzydełku obwoluty: „Te monologi kilkunastu narratorów, niestroniące od groteskowych tonacji i życzliwej drwiny, wypowiedziane są w rozpoznawalnym klimacie lat sześćdziesiątych. Tworzą one wielogłos, którym przemawia znajoma nam współczesność, jej niespokojny pośpiech, cywilizacyjne perspektywy, nadzieje i osamotnienia". Książka została przetłumaczona na niemiecki. W niektórych opowiadaniach, jak *Wypychanie ptaków, Kongres hodowców kwiatów* i *Zegarmistrz Piko* doczytano się u nas aluzji do postaci znanych polskich poetów (padało nazwisko Przybosia).

Następna proza wydana po kilku latach odbiega od wszystkiego, co dotąd pisał. Powieść *Złota papuga* miesza szyki odbiorcom twórczości A.M. i wywołuje zakłopotanie krytyków. Międzyrzecki porzuca tu cechujący go umiar, rysuje sceny z zamierzenia jaskrawe, świadomie sprzeczne z jego gustem literackim, buduje postać, którą można by określić jako komiksową – gdyby nie wypowiadała zbyt często słów głęboko zastanawiających.

Zapowiedź wydawcy brzmi: „Groteskowa opowieść o tym, jak grono wielbicieli rekonstruuje życiorys zmarłego reżysera, który za życia ulegał

wszystkim współczesnym modom artystycznym i naukowym. Ma ona przede wszystkim charakter parodystyczny, urzeka subtelnym, intelektualnym humorem, drwiną z takich współczesnych nam manii jak panseksualizm, sięganie do dawnych mitów i archetypów, zwariowane *science-fiction*, obsesyjna pogoń za nowością w poezji, malarstwie i filmie, sztuczne komplikacje spekulatywnych teorii pseudonaukowych itp. W sumie książka daje ironiczną krytykę niektórych tendencji w kulturze współczesnej, posiada pewne pokrewieństwa z utworami Witkacego".

Książki tego rodzaju nikt się po Międzyrzeckim nie spodziewał. Ale poszukiwanie nowej tematyki i pewna jakby słabość do egzotyki objawiły się już w noweli *Powrót Robinsona*. W *Złotej papudze* znalazła ujście udokumentowana, ale z wielką swobodą podana i wsparta wyobraźnią wiedza o kierunku badań w różnych dziedzinach nauki; opisy wyprawy w tajemnicze rejony Ameryki Południowej mają łudzącą świeżość autentyzmu. Była to pierwsza książka prozatorska A.M., która nie doczekała się wznowienia. Można też śmiało powiedzieć, że jest to, być może, pierwsza napisana w Polsce powieść postmodernistyczna.

Rok 1979 przynosi szczupły tomik opowiadań zatytułowany *Wiek mentorów*. Pojawia się w niej postać Teofrasta Sofy, perypatetyka wodzącego za sobą, na wzór greckich filozofów, grupkę wiernych uczniów, którym wykłada swoje poglądy na świat, moralność, naturę człowieka i pisarstwo. Terenem przechadzek są ulice Warszawy, najczęściej okolice Alej Ujazdowskich. Można przypuszczać, że prawdy, jakie wypowiada doktor Sofa, nie odbiegają zbytnio od poglądów samego autora, choćby wówczas, kiedy mówi:

„Męczennicy poezji i prozy, jesteście bezsilni wobec potęg świata.

Ale wy jedni złożycie o nich trwałe świadectwo i nie ma światłego człowieka, który by nie wiedział, że dobre imię epoki zależy od tekstów, które po niej pozostaną, w księgozbiorach albo szufladach".

Opowiadanie tytułowe *Wiek mentorów*, to zapis wieczoru spędzonego na Long Island w towarzystwie poetów amerykańskich. Centralną postacią spotkania jest sędziwy poeta „awangardy amerykańskiej" Louis Zukofski, występujący tu pod nazwiskiem Kurofsky; inny rozmówca, nazwany Deltą, to poeta mieszkający i wykładający na uniwersytecie nowojorskim na Long Island – Louis Simpson, którego wiersze znalazły się w antologii poetów amerykańskich *Opiewam nowoczesnego człowieka*, przygotowanej przez Artura Międzyrzeckiego i Julię Hartwig.

Ulica Wiejska to pierwszy opis literacki tej znanej warszawiakom ulicy w śródmieściu Warszawy, bardzo zresztą dokładny, pomyślany niemal jak dokument czasu, tu bowiem spotkać można było, w porze przedpołudniowej, wiele sław literackich, pisarzy i artystów, zmierzających do kawiarni wydawnictwa Czytelnik. Na tej samej ulicy mieściła się też redakcja miesięcznika „Twórczość" i redakcje tygodników, najpierw „Nowej Kultury" a następnie „Kultury" (zwanej „warszawską Kulturą" w odróżnieniu od paryskiej).

Warszawa jest tu nie po raz pierwszy przedmiotem pisarskiej uwagi Artura Międzyrzeckiego. Jego przywiązanie do tego miasta (*To samo miasto, ta sama miłość*) i dokładna znajomość jego historii dają o sobie znać nie tylko w licznych wypowiedziach, artykułach i tekstach do filmów dokumentalnych, takich jak *Powązki* czy *Warszawa w obrazach Canaletta*, ale przede wszystkim w zbiorze szkiców *Warszawa Prusa i Gierymskiego* (1957); zaś jako miasto dzieciństwa i wczesnej młodości pojawia się też w jego liryce.

To samo miasto, ta sama miłość (1992) to zbiór niepełny opowiadań publikowanych w poprzednio wydanych książkach *Śmierci Robinsona* i *Powrocie do Sorrento.*

W rok potem ukazuje się nieduża książeczka, zatytułowana *Między nami mówiąc*, która stanowi jakby uzupełnienie *Ulicy Wiejskiej*. Jesteśmy tu świadkami rozmów prowadzonych przez tych właśnie bywalców kawiarni Czytelnika, których w opisie ulicy Wiejskiej spotykaliśmy tylko w przelocie. Rozpoznajemy portrety osób znanych nam z nazwiska, uczestniczymy w rozmowach, jakie z sobą toczą. Żartobliwy ton tych spotkań stopniowo poważnieje, głosy dochodzą coraz bardziej z daleka, z niewzruszoną regularnością zaczyna powtarzać się podawana przez telefon, wciąż podobnie brzmiąca wiadomość: Umarł Ważyk. Umarł Zbyszek Kubikowski. Umarł Leopold Tyrmand. Umarł Leszek Prorok. I Jastrun. I Andrzejewski. I Andrzej Kijowski. I Tomasz Gluziński. I Anna Kamieńska. Tak kończy się ta niefrasobliwa z pozoru książeczka, która idąc jakby w ślad za schematem życia, przemienia się, może nawet wbrew sobie, w podzwonne tamtych lat.

Wywiad-rzeka *Na progu XXI wieku* przeprowadzony z Arturem Międzyrzeckim przez Tadeusza Kraśkę ukazał się w miesiąc po śmierci poety, pod koniec 1996 roku. Tematyka rozmowy jest rozległa, od refleksji na temat przymiotów i wad demokracji do rozważań o postawach życiowych, o przyjaźni, historii, o pojęciu szczerości i „łatwości pesymizmu", o literaturze. Wypowiedzi te nacechowane umiarem, zaprawione są nierzadko żartem, czy paradoksem, ale wyczuwa się w nich skryty ton niepokoju o otaczający nas świat.

Prowadzony przez Artura Międzyrzeckiego dziennik (*Dzienniki i wspomnienia*, 1999) podobnie jak wywiad-rzeka *Na progu XXI wieku* wyszedł już po śmierci poety. Obie te książki zawierające wypowiedzi autora na tematy wykraczające poza literaturę, rzucają światło na samego pisarza, którego doświadczenia życiowe, wiedza i zasięg widzenia współczesności nie dają się zamknąć wyłącznie w ogrodzie literatury, form literackich i kłopotów środowiskowych.

O *Dzienniku* pisał w „Tygodniku Powszechnym" Bronisław Mamoń: „Pamiętnik spisywany przez Międzyrzeckiego nie ma w sobie nic z egotyzmu autorskiego ani plotki towarzyskiej. Nie jest opowieścią o sobie, nie jest budowaniem pomnika u potomnych, jest sprawozdaniem z doświadczeń zbieranych w kontakcie z rzeczywistością polityczną, społeczną, literacką. Jest dotknięciem drugiego człowieka. Uczy zrozumienia i tolerancji. (...) Międzyrzecki spisywał wspomnienia jako «pamiętnik świadka». Temu pamiętnikowi wyznaczał ważną funkcję uświadamiania, wyrażającą się w imperatywie ratowania zagrożonej substancji kultury". Następuje cytat z dziennika: „Generacja, do której należałem, szła od doświadczeń życia – przede wszystkim od doświadczeń końca świata we wrześniu 1939 roku, od doświadczeń wojennych, od swojej gorzkiej legendy powszedniej – do doświadczeń sztuki. Miałem przez wiele lat naturalny odruch ratownictwa w tej dziedzinie, to jest obrony literatury całej, zwłaszcza poezji, jako pluralistycznej całości nie do uszczknięcia – jeśli zachowana ma być jej autentyczność – i traktowania spraw tak pojętej literatury jako części kultury ogólnej".

O opóźnionej lekturze *Dzienników i wspomnień* pisze do Julii Hartwig w sposób bardzo osobisty Jan Józef Szczepański w liście z 18 III 2003, wysłanym z Krakowa:

„(...) Na szczęście życie ma i swoje interesujące strony. Do nich zaliczyłbym książkę Artura *Z dzienników i wspomnień*, którą właśnie czytam. Czytam – to za mało powiedziane, bo dzięki temu tekstowi ja obcuję z Arturem – słyszę Jego głos, widzę Jego uśmiech, żartobliwy i ironiczny zarazem. Wraca też do mnie atmosfera Waszego domu, tak dla mnie ważna, chociaż zaznałem jej tylko dorywczo i rzadko. Widzę teraz, że nie wykorzystałem tych wizyt, bo zasięg wiedzy Artura o literaturze – i kulturze – oceniam dopiero, w pełnym wymiarze, czytając Jego książkę. O tym wszystkim rozmawialiśmy zbyt mało z mojej winy. Erudycja, kultura, zakres jego wykształcenia, są ogromne, a ja nie zadałem sobie dość trudu, aby z nich skorzystać. Poprzestawałem głównie na jego osobistym uroku. Czarował mnie także jako prezes PEN

Clubu – najlepszy jakiego znałem. Nie wiem, Julu, jak Ci to powiedzieć, ale Twój Mąż był jednym z najszlachetniejszych ludzi, jakich miałem szczęście spotkać. To Ci tylko przekazuję (nie mam nawet żadnej nowej książki, żeby Ci posłać) i serdecznie Cię ściskam, Jan".

*

Życie Artura Międzyrzeckiego było dostatecznie bogate, by nie ograniczać go do literatury. Urodzony w Warszawie i darzący to miasto wiernym uczuciem, znaczną część życia spędził od niego z dala. Wędrówka rozpoczęta w roku 1939 prowadziła z Warszawy do Lwowa, skąd zesłany został do Kazachstanu. W roku 1942 z armią Andersa, do której się zaciągnął, wylądował w Afryce, gdzie zawarł znajomość z Irakiem, Libią, Egiptem i Jerozolimą. Po przeprawie do Włoch czekał go szlak bojowy przez Ankonę, Monte Cassino, Bolonię, gdzie po zakończeniu działań studiował przez czas jakiś na uniwersytecie bolońskim. Po zakończeniu wojny znalazł się w Londynie; demobilizował się w Dunkierce. Był to powrót do cywilnego życia. Co dalej?

Przyjeżdża do Paryża i zapisuje się do Szkoły Nauk Politycznych (Ecole des Sciences Politiques). Wspominać będzie te studia z wdzięcznością; wykształciły w nim umiejętność dostrzegania analogii historycznych, wprowadziły go w historię Francji i mechanizm struktur politycznych. Atmosfera, jaką wnosili wybitni profesorowie, umocniła przyrodzoną mu skłonność do rozwagi i tolerancji. Zapamiętał zwłaszcza wykłady z religioznawstwa profesora André Siegrieda – dodawał przy tym, że profesor był protestantem – i jego wywód o naturalnych więzach solidarności łączącej mniejszości rasowe, polityczne i religijne w obronie przed gwałtami nietolerancji.

Pobyt w Paryżu był dobrą lekcją wstępną dla młodego podchorążego artylerii i poety, autora wydanego w wojsku w roku 1943 tomiku wierszy *Namiot z Kanady*. Z jednej strony otwarte wrota wszelkich sztuk, z drugiej – podawany w codziennej dawce francuski racjonalizm (czy może „zdrowy sens"), doprawiony sceptycyzmem, jako antidotum na polskie szaleństwa.

W roku 1950 wraca do Warszawy. Nie uda mu się tu uniknąć zagubień politycznych, jakie czyhały na młodych adeptów literatury z jego pokolenia, wśród których znaleźli się najzdolniejsi: Ficowski, Szymborska, Woroszylski, Bocheński, Konwicki. Skażenie, jakiego doznało ich pisarstwo w okresie stalinizmu, dotyczy również pisarzy już wówczas renomowanych: Andrzejew-

skiego, Brandysa, Brezy, nie ominęło nawet Antoniego Słonimskiego i Marii Dąbrowskiej. Dostateczną karą była klęska, jaką ponieśli w uprawianej wówczas własnej twórczości, którą w następstwie skazać mieli na zapomnienie. Każdemu z nich zostało to zresztą w późniejszych latach niejednokrotnie wypomniane. Zostały bolesne blizny, do końca niewygojone. Najostrzej atakowali ich zazwyczaj ci, co sami pozostali bierni w późniejszych zmaganiach o demokratyzację kraju, w której wymienieni tu pisarze okazali odwagę i upór, opłacając to niejednokrotnie represjami, niemożnością publikowania i wydawania książek, a w okresie stanu wojennego w wielu wypadkach – internowaniem.

Połowa lat pięćdziesiątych, ze swoim szczytowym punktem roku 1956 była świadkiem przemian dokonujących się w literaturze. Antoni Słonimski został prezesem ówczesnego Związku Literatów Polskich, Artur Międzyrzecki wiceprezesem. W roku 1968, ze względów politycznych z funkcji tej zrezygnował. Zaufanie środowiska, jakim go wówczas obdarzono, nie opuściło go do końca życia. Po zorganizowanym przez ówczesny Związek Literatów Polskich słynnym zebraniu lutowym, w którym wziął czynny udział – protestowano przeciw zdjęciu *Dziadów* Mickiewicza ze sceny Teatru Narodowego – znalazł się na czarnej liście i pozbawiony został źródeł utrzymania. Rok później, zaproszony do Stanów Zjednoczonych na Międzynarodowy Program Pisarski w Iowa, wyjechał tam z żoną i córką. Podczas czteroletniego pobytu w Stanach wykładał na uniwersytetach amerykańskich, w Des Moines i na Uniwersytecie Nowojorskim w Stony Brook, na Long Island.

Po powrocie do Polski w roku 1974 rozpoczął się najbardziej może aktywny okres w życiu Artura Międzyrzeckiego. Pisze, tłumaczy – wychodzą wówczas *Iluminacje* i *Sezon w piekle* Rimbauda w jego przekładzie – angażuje się z oddaniem w prace PEN Clubu, którego zostaje wiceprezesem, a następnie prezesem, i wiceprezesem PEN Clubu międzynarodowego. Po śmierci Klemensa Szaniawskiego, prezesa Komitetu Porozumiewawczego Stowarzyszeń Twórczych i Towarzystw Naukowych, przejmuje jego zadania i pełnić je będzie aż do końca. W latach 1980–81 jest ekspertem NSZZ „Solidarności" w Komisji Kultury Regionu Mazowsze, podczas stanu wojennego jest członkiem Komitetu Obywatelskiego przy przewodniczącym NSZZ „Solidarność". Współpracuje z polską sekcją UNESCO, jest członkiem Kapituły Orderu Orła Białego. Nie chce się wierzyć, jak przy tych zatrudnieniach znajdował jeszcze czas na pisanie. Przez ostatnie lata robił to głównie nocami.

W nekrologach i wspomnieniach, jakie się po jego śmierci ukazały, wiele miejsca zajmuje osobowość Artura Międzyrzeckiego. Oczywiście, nie obywa się bez sięgania do życiorysu. W *Płaczu generała* (1998) Maria Janion pisze:

„Był jednym z najbardziej cywilnych ludzi jakich znaliśmy. A jednocześnie był żołnierzem. Należałoby może dodać, że nie rzewnym kombatantem, ale żołnierzem autoironicznym, co brzmi jak paradoks, ale oddaje wyjątkowość kondycji poetyckiej Artura Międzyrzeckiego. Uczestniczył w wojnie – i w bitwie pokoleniowej: pod Monte Cassino. Była dla jego formacji emocjonalnej, intelektualnej, poetyckiej tym, czym dla rówieśników w kraju powstanie warszawskie, czym dla innego, poprzedniego, a tak mu bliskiego pokolenia francuskiego – bitwa pod Verdun. W jego poezji ciągle wyczuwa się tchnienie armii umarłych, ich bohaterska śmierć jednak nie zmieniła losu Polski. Zawsze z goryczą wspominał defiladę alianckich zwycięzców w Londynie – bez żołnierzy polskich. «Wygodna Europa» wolała o nich zapomnieć".

Za momenty przełomowe w biografii A.M. uznać można trzy daty: rok 1939, który nazywał „końcem świata", bitwę pod Monte Cassino i ogłoszenie stanu wojennego w roku 1968, w którym dokonały się: najazd na Czechosłowację, pogrom patriotycznej inteligencji i bezwzględne działania antysemickie. Wszystkie te dramatyczne okresy znalazły wyraz w jego twórczości.

Wspomnienia przyjaciół i ludzi żyjących w jego pobliżu, a czasem i wypowiedzi krytyków, niemal zawsze idą dwoma torami: Międzyrzecki – pisarz i Międzyrzecki – osoba publiczna. Dwoistość tego oglądu jest całkowicie uzasadniona.

Jest oczywiste, że w miarę upływającego czasu rysunek postaci się zaciera i zostaje to, co na papierze. Byłoby tak, gdyby to, co napisał, nie nosiło cech jego osobowości. Wystarczy wspomnieć *Opowieści mieszkańca namiotów*, *Powrót do Sorrento* i *Teofrasta Sofę* i zestawić je z wierszami. Powaga głoszenia prawd pierwszych nie kłóci się z autoironią, kiedy pisze w wierszu: „Ale takich jak ty/liczy się na kopy". Pisano o nim: „Cechowała go ironia i dowcip, bywał zasadniczy i niefrasobliwy, dosłowny i nieobliczalny, oczywisty i programowo niejasny". Można by jeszcze dodać: wyrazistość ustępowała raz po raz miejsca zaczajonej melancholii. Zostawił po sobie garść prawd, które nie podlegają autodestrukcji. Nie podważał ich, ale próbował odebrać im sztywność. „Kto ustawi wzdłuż swojej drogi raz na zawsze ustalone znaki, zajedzie do najnudniejszego z piekieł" – pisał. W lipcu 1984 roku ocenzurowano mu w „Tygodniku Powszechnym" część zdania kończącego się słowami: „(...) trzeba pamiętać o naturalnych bogactwach naszej kondycji,

do których należą świadomość czcigodnych praw, zdolność podziwiania i poczucie humoru".

Był towarzyski, rozmowny, żywy, lubiany i szanowany. Z pewnością miał też wrogów i to takich, którzy potrafili dać się we znaki. Nie upominał się o nic dla siebie, dary przyjaźni, jakie otrzymywał od innych, były zasłużone. Należał do tych ludzi, którzy wyznają rodzaj religii przyjaźni, przywiązywał do niej ogromną rolę i może najbardziej z wszystkich cnót cenił lojalność. W wielu wspominkach powtarza się w odniesieniu do niego słowo: elegancja, ale choć dbał o swój wygląd zewnętrzny, nie dlatego pojawiło się przy nim to słowo. „Elegancja wymaga mądrości, umiaru, poczucia humoru, umiejętności prowadzenia dialogu – pisze Zaworska. – Zabija ją nadmierne zadufanie, fanatyzm, niechlujne myślenie, nienawistna uczuciowość. Wyższe wykształcenie, nawet najwyższe, nie nada blasku osobowości, jeśli nie ma w niej wewnętrznej elegancji. Artur Międzyrzecki posiadał ją w stopniu wyjątkowo wyrazistym. Był łagodny, tolerancyjny, chętny rozmowom z ludźmi, poważny a jednocześnie zawsze odrobinę ironizujący."

Powrócił do Polski w roku 1950. z innego świata, po odbytej wojnie i po doświadczeniach wyniesionych z armii polskiej podporządkowanej obyczajom angielskim, które nie mogły nie wywrzeć wpływu na obyczaje dwudziestoletniego podchorążego. Może stąd ten sposób bycia, jakby trochę odbiegający od szablonu. Adam Michnik porównał go z jakiejś okazji do kogoś w rodzaju arystokraty angielskiego o poglądach liberalno-konserwatywnych. Ale nostalgia, jaka go trapiła w latach oddalenia od kraju, była z Warszawy rodem. Powrócił do Polski po wojnie z własnej woli i chęci i zawsze tak potem wracał, i z Francji, i z Ameryki, gdzie mógł przecież zostać, bo poszukiwano właśnie na jednym z uniwersytetów kanadyjskich wykładowcy literatury porównawczej, władającego angielskim i francuskim. Będąc już w Polsce niechętnie podróżował, co wyjaśniał krótko, że w młodości, jako wojak, napodróżował się do syta. (Mimo to wyjeżdżał wielokrotnie, jako przedstawiciel PEN Clubu polskiego.) Można też śmiało powiedzieć, że zwłaszcza po powrocie ze Stanów bardzo się Międzyrzecki w kraju przydał. Zaś z jego późnych literackich podróży wynikło sporo wcale nieosobistych korzyści. Zaproszony do Belgii na Biennale Poezji, gdzie od razu wszedł do Jury Nagrody Międzynarodowej, przeforsował dwóch swoich kandydatów, największego współczesnego poetę węgierskiego Gyulę Illyésa i Zbigniewa Herberta. Obaj zostali nagrodzeni. W okresie zawieszenia działalności PEN Clubu w stanie wojennym, jego kontakty zagraniczne okazały się bezcenne

dla zmobilizowania protestów opinii światowej przez oddziały PEN Clubu międzynarodowego.

Kto mógł przewidzieć że epitet, „Europejczyk", jakim smagano go w czasie nagonki w roku 1968, uznany wówczas za pogardliwy i uwłaczający, a nawet niebezpieczny, odzyska wreszcie i u nas swój właściwy sens. Jako „Europejczyk" wyprzedził Międzyrzecki nasz skok do Unii Europejskiej, a swoje koligacje wykorzystać umiał dla dobra wspólnego. Po raz drugi bito go za twierdzenie, że literatura polska jest jedna, i że podział na literaturę krajową i emigracyjną musi się skończyć. Niewielu umiało docenić szerokość jego spojrzenia na sytuację w świecie, i na wyniesioną jeszcze z wczesnej młodości, z okresu przedwojennego, postawę obywatelską.

Miał wielu przyjaciół zagranicą, zwłaszcza poetów, podobnie jak w Polsce. Jak napisał z tej okazji Bronisław Mamoń: „Przyjaźń ludzi w świecie sztuki jest najcenniejszym darem, jaki można w życiu otrzymać". Wnosił w te środowiska żywość, energię i dobry nastrój. Kiedy wchodził do sali delegatów zebranych przed debatą, zewsząd witano go przyjaznymi okrzykami. Miał to, co Francuzi nazywają *don de présence* – dar obecności, a co my nazywamy charyzmą. W liście pożegnalnym dwaj pisarze francuscy Alex Blokh i Ronald Harwood oddają sprawiedliwość „jego inteligencji, brawurze i szlachetności". Śmierć Artura Międzyrzeckiego odnotowały pisma francuskie – „Libération" i „Le Monde". Ale miejsce puste po nim zostało tu, w kraju...

*

Po roku 1996 ukazały się dwie poetyckie książki Artura Międzyrzeckiego: *Nieskończona przejrzystość* (1999), tom wierszy przygotowany jeszcze za życia poety, i *Wiersze* (2006), wybrane przez Wisławę Szymborską.

Julia Hartwig

Artur Międzyrzecki

WIZYTA

Po latach zagadnął [redacted] mnie [redacted] w ciemnej bramie nagle
Poznaliśmy obok siebie w deszczu i niebo Apulii wygrażało [illegible]
= pod [illegible]

Ważny kolega ze szkoły podchorążych
[illegible] jest smagły bez znaków szczególnych [redacted]
[redacted] gęsty prawie

Odwiedza mnie teraz co dwa lata wspominamy dawne drogi
Co dwa lata przyglądam się [illegible] znaku na jego twarzy
Podchorąży zawsze zdąży – pamiętasz?
Dowcip grubiał mu wraz z rysami
I nie czyta już książek
Jego ręce leżą przed nim ciężko jak odyszane psy
Nie skończył studiów musiał utrzymywać rodzinę
Musiałem – mówi – no nie?
Grunt to rodzinka – nie?
[illegible] mu w [illegible] i [illegible] w E –
Wspomina [illegible] w Ankonie kursy samochodowe w Syrii
= gdzie szpital

I bitwy! Bitwy!
Jeździmy jakby na wakacjach – no nie?
Jakby się zastanowić – nie?
Nie zapomniał o niczym i włoskie nazwy śpiewają jak [illegible]
w jego [redacted] oddechu przesyconym czarnym tytoniem
= uroki w jego

Mareggio
słoneczne zaświaty pamięci
[illegible] co dwa lata [illegible]
Co dwa lata przyjeżdża [illegible]
= już na pożegnanie

Czuję wówczas chłód w trzewiach i zawrotne [illegible] czas
szydzi z mego smutku.

[illegible]

Artur Międzyrzecki
(6 XI 1922–2 XI 1996)

Biografia

Artur Międzyrzecki urodził się 6 listopada 1922 roku w Warszawie, w rodzinie inteligenckiej: syn Mieczysława Międzyrzeckiego i Pelagii z Fuchsów. Do szkoły średniej uczęszczał w Warszawie. We wrześniu 1939 usiłował zaciągnąć się do oddziałów formujących się we wschodnich województwach. W roku następnym wywieziony ze Lwowa w głąb ZSRR (Kazachstan). Od 1942 w tworzącej się w ZSRR Armii Polskiej na Wschodzie generała Andersa (późniejszy Drugi Korpus). Był podchorążym w pułku korpuśnej artylerii, stopień porucznika przyznany mu został po wojnie przez Rząd Londyński.

Debiutował w 1943 wierszem pt. *Namiot z Kanady* wyróżnionym pierwszą nagrodą w wychodzącym wówczas w Bagdadzie tygodniku „Orzeł Biały"; w piśmie tym publikował do 1944. Nadto utwory poetyckie i prozę ogłaszał m.in. w „Dzienniku Polskim" (Tel Aviv – Kair 1943–44), w czasopiśmie „W drodze" (Jerozolima 1943), w wydawnictwie wileńskiej Brygady Żubrów „Sitwa"(1943–46) i „Na Szlaku Kresowej" (Włochy 1940).

Brał udział w kampanii włoskiej, uczestniczył w bitwie pod Monte Cassino (odznaczony Krzyżem Monte Cassino) i w bitwie o Bolonię. Po zakończeniu działań wojennych studiował na uniwersytetach w Bolonii i od 1946 roku Paryżu w Ecole des Sciences Politiques.

Bezpośredni kontakt z Francją wzbudził w nim zainteresowanie kulturą francuską i francuską poezją. Towarzyszyło mu ono do końca życia znajdując wyraz w esejach i tłumaczeniach poetów francuskich. W roku 1948 ukazał się w Paryżu tom jego wierszy zatytułowany *Strony przydrożne*.

Po ukończeniu studiów Artur Międzyrzecki wraca w roku 1950 do Polski i osiedla się w Warszawie, z którą od dzieciństwa czuje się serdecznie związany. Znajduje to wyraz w całej jego późniejszej twórczości, zwłaszcza w książkach: *To samo miasto, ta sama miłość*, *Między nami mówiąc*, w utworach pisanych dla dzieci, w esejach takich jak *Warszawa Prusa i Gierymskiego* a także w tekstach do filmów dokumentalnych: *Powązki*, *Niedziela warszawska* czy *Warszawa w obrazach Canaletta*.

Poezja jest główną domeną jego twórczości. Najważniejsze tomy jego wierszy to wybory poetyckie z lat 1957, 1971, 1979, 1980, 1992, 1997, *Noc darowana* 1960, *Selekcje* 1964, *Zamówienia* 1968, *Wygnanie do rymu* 1977, *Wojna nerwów* 1983, *Koniec gry* 1987, *Wiersze dawne i nowe* 1992, *I nie ma ciebie dawnego* 1993, *Rzeka czarownic* 1994, ułożona przez autora, a wydana pośmiertnie *Nieskończona przejrzystość* 1997 i wybór dokonany przez Wisławę Szymborską, *Wiersze* 2006.

Wśród tomów prozy opublikował: *Opowieści mieszkańca namiotów* 1957, 1965, 1981; *Powrót do Sorrento* 1958, 1965, 1981; *Śmierć Robinsona* 1963, 1976; *Wiek mentorów* 1979; *Złota papuga* 1971; *To samo miasto ta sama miłość* 1992; *Między nami mówiąc* 1993; *Dzienniki i wspomnienia* 1999.

Eseistykę literacką zawierają: *Kombatanci i podróżnicy* 1957, *Poezja dzisiaj* 1964, *Dialogi i sąsiedztwa* 1971; zbiór esejów i tłumaczeń poezji obcojęzycznej znalazł się w książce *Rimbaud, Apollinaire i inni* 1988; wywiad-rzeka *U progu XXI wieku* ukazał się w roku 1996.

Przekładał wiersze poetów francuskich, angielskich, amerykańskich, hiszpańskich, włoskich i rosyjskich.

Z poezji francuskiej: Racine *Fedra* 1978; Moliére *Szkoła żon* 1981; Rimbaud: *Sezon w piekle* i *Iluminacje* (wydanie dwujęzyczne) 1980; Rimbaud *Ja to ktoś inny*, korespondencja 1970; Rimbaud *Wiersze*, *Sezon w piekle*, *Iluminacje, Listy* (wydanie dwujęzyczne) 1993; Oskar Miłosz *Miłosne wtajemniczenie* 1976, 1981, 1993; Aragon *Elza* 1963 i *Wieśniak paryski* 1971; René Char *Wspólna obecność* 1972, 1980; Yves Bonnefoy *Ten sam ciągle głos* 1968. Wraz z Julią Hartwig:

Apollinaire *Nowe przekłady* (wydanie dwujęzyczne) 1972, oraz wydanie poszerzone pt. *Piosenka niekochanego i inne wiersze* 1994; Apollinaire *Poeta zamordowany* 1966, 1978, 1993.

Z poezji hiszpańskiej: Antonio Machado *Serce i kamień* 1967, 1985.

Z poezji włoskiej: Salvadore Quasimodo *Poezje* 1961.

Z poezji rosyjskiej: Osip Mandelsztam, udział w tomie poezji Mandelsztama z 1971; Borys Słucki *Pamięć* 1964.

Z poezji węgierskiej: Gyula Illyés *Poezje* 1966, 1980.

Sztuki teatralne: *Ekspedycja* („Dialog" nr 3/119) 1966.

Wespół z Julią Hartwig wydał, obok korespondencji Rimbauda i dzieł Apollinare'a, antologię poezji amerykańskiej *Opiewam nowoczesnego człowieka* 1992, również: książki dla dzieci *Pierwsze przygody Poziomki* 1961; *Pan Nobo* 1964; *Przygody Poziomki* 1967; *Wielki pościg* 1969 oraz sztuki dla dzieci: *Jaś i Małgosia* (premiera w Warszawie w 1959); *Tomcio Paluch* (premiera w Warszawie 1960, w Kansas City 1964).

Redaktor poetycki „Nowej Kultury" (1956–58); autor cotygodniowych felietonów pt. *Ludzie i książki* w czasopiśmie „Świat" (1956–68); redaktor „Twórczości" (1974–1986); od końca lat 60. współpracownik „Tygodnika Powszechnego".

Członek jury (1956–96) i przewodniczący jury Międzynarodowej Nagrody Poezji przyznawanej co dwa lata w Belgii; wiceprezes Związku Literatów Polskich, wybrany w 1956, złożył rezygnację w roku 1968.

W latach 1980–81 ekspert NSZZ „Solidarność" w Komisji Kultury Regionu Mazowsze. Podczas stanu wojennego – i do roku 1991 – członek Komitetu Obywatelskiego przy przewodniczącym NSZZ „Solidarność".

Od roku 1991 prezes Polskiego PEN Clubu i wiceprezes Międzynarodowej Federacji PEN. Przewodniczący Ogólnopolskiego Komitetu Porozumiewawczego Stowarzyszeń Twórczych i Towarzystw Naukowych. Od roku 1993 członek Kapituły Orderu Odrodzenia Polski.

Przyczynił się do ożywienia działalności PEN Clubu polskiego i wzrostu znaczenia tej organizacji zarówno w kraju jak i zagranicą.

Uczestnik Harvard International Seminar (1965), wykładowca na uniwersytetach amerykańskich (1971–73) i uczestnik seminariów Woodrow Wilson Center w Waszyngtonie (1983). Wyróżniony the Ida Beam Professorship State University of Iowa.

Laureat nagrody Polskiego PEN Clubu (1971), francuskiej Prix de Traduction (Fondation Hautvilliers) wspólnie z Julią Hartwig (Paryż 1977), nagrody

ZAIKS-u (1985), amerykańskiej Thornton Wilder Prize (wspólnie z Julią Hartwig, Columbia University, Nowy Jork 1986), nagrody imienia Jurzykowskiego (Nowy Jork 1987), nagrody „Literatury na Świecie" (1989).

Był członkiem wielu stowarzyszeń i ciał oficjalnych w kraju i zagranicą. Między innymi sprawował funkcję wiceprzewodniczącego Polskiego Komitetu Unesco i członka jury Międzynarodowej Fundacji Świętego Wojciecha.

Był sygnatariuszem – w roku 1970 protestu przeciw poprawkom w Konstytucji i brał czynny udział w zorganizowaniu w roku 1981 Kongresu Kultury przerwanego dekretem o stanie wojennym.

Ożeniony z poetką Julią Hartwig (1954). Ich córka, Anna Daniela Międzyrzecka ukończyła studia filozoficzne na Columbia University i mieszka w Nowym Jorku.

(j.h.)


Fot. Archiwum Julii Hartwig

Artur Międzyrzecki z Czesławem Miłoszem. Wieczór autorski Miłosza u Pallotynów 1976 r.

Nota do wymiany listów między Arturem Międzyrzeckim i Czesławem Miłoszem

W 1971–1974 Artur Międzyrzecki przebywał z żoną, Julią Hartwig, i córką Danielą w Stanach Zjednoczonych. Wyjazd nastąpił na zaproszenie profesora Engle'a kierującego Międzynarodowym Programem Pisarskim w Iowa. Kilka pierwszych miesięcy A.M. spędził w Iowa sam, ponieważ żona i córka nie dostały zezwolenia na towarzyszenie mu. Rozłąkę tę zniósł boleśnie, tym bardziej, że rokowania na połączenie się rodziny były niepewne. Nawiązał wtedy korespondencję z Czesławem Miłoszem, który jak mało kto rozumiał jego położenie, znalazł się bowiem w podobnej sytuacji podczas pobytu we Francji, nie otrzymując zezwolenia na wjazd do Ameryki, gdzie zostawił żonę i dzieci.

Nawiązana wówczas korespondencja trwała do końca pobytu Międzyrzeckich w Stanach Zjednoczonych i później, a stosunki między obu poetami nabrały dzięki niej charakteru przyjaźni. Świadczą o tym listy Czesława Miłosza do Artura Międzyrzeckiego – a jest ich kilkadziesiąt – które A.M. pieczołowicie przechował. Dotyczą one spraw najróżniejszych: Miłosz udzielił rodzinie Międzyrzeckich wielu cennych rad dotyczących zainstalowania się w nowych, amerykańskich warunkach, powiadamiał też swego korespondenta regularnie, jak postępują starania o pracę dla niego na którymś z uniwersytetów amerykańskich. Starania te nie przyniosły rezultatu i Artur Międzyrzecki po semestrze nauczania na uniwersytecie w des

Moines podpisał kontrakt z nowojorskim uniwersytetem stanowym (New York University), gdzie w tym czasie wykładali również Jan Kott i Roman Karst.

Korespondencja z Czesławem Miłoszem trwała do końca naszego pobytu w Stanach i po naszym powrocie do Polski. A.M. zdążył jeszcze przed wyjazdem odwiedzić Miłoszów w Berkelay w ich domu na Grizzli Peak, gdzie spędził kilka dni, często przez niego później wspominanych.

(j.h.)

List Czesława Miłosza do Artura Międzyrzeckiego

26 I 73

Drogi Arturze,

Ziemia obraca się (podobno). Wszystko co jest, jest takie. Bo tak zostało sądzone. Czy też ściślej: jest, jakie jest, bo tak sądzone. Paląc cygara i pijąc burbon rozmyślam o rozpaczy amerykańskich poetów. Roethke. To chyba jeden z najbardziej autentycznych. Krzyk i skarga poety + profesora z *tenure*, dla którego jedyną domeną kontaktu z ludźmi były jego wykłady w kraju, gdzie, jak powiada, łatwiej wydać tom esejów o poezji niż tom poezji. Pytanie moje tak brzmi: a jeżeli ja bym sobie pozwolił na to, co oni sobie pozwalają – w sensie nagiej rozpaczy – dobrze by to było czy źle? Bo jednak inny trening (historyczny?) na to nie pozwala. I dotykamy tu być może prawdziwych różnic między cywilizacjami. Że mój tom po angielsku wychodzi, to trochę przedwczesne. Firma Herder and Herder, która to zainicjowała, została pochłonięta przez lewiatana – Mc Grow-Hill, ale nie może się z tym pogodzić i w tej chwili przeprowadza rozwód, więc nie wiem kiedy rzecz wypłynie na czyste wody. Czy to takie ważne, *vide* Roethke i jemu podobni.

Brodskij, który u nas czytał wiersze (dobrze) i który o mnie dowiedział się w Wilnie, od litewskich poetów, jest (nie wobec mnie) arogant, co może i dobrze. W Ann Arbor jak na jego seminarium student powie polityczne głupstwo, wyrzuca z klasy, każe wyjść. A jak go w New Jorku pytali o Jewtuszenkę, powiedział, że Jewtuszenko jest shit i kiedy ktoś zapytuje się o Jewtuszenkę jest shit.

Podobno Herbert przyjeżdża do Iowa. Nie rozumiem, miał być chyba Karpowicz. Widocznie nazwiska eksportowe bardziej Engle'owi w jego fazie gry

ze Wschodem odpowiadają. Nb. 400 stron tomu Karpowicza w PRL to dla mnie dziw nad dziwy. Bo to wejście jest absolutnie bezużyteczne i ten luksus w kraju, gdzie brak chleba najprostszej prawdy, *ça fait rever**. No i zajadają się lingwistycznymi i strukturalistycznymi ciastkami do tego stopnia, że jak ktoś powie: „stół ma cztery nogi" będą od niego uciekać, jakby pierdnął publicznie.

Pozostawałoby jeszcze sporządzić testament, w którym zabroniłbym pisać o sobie czegokolwiek po polsku. To byłoby może trochę bardziej radykalne niż u Gombrowicza. Eukaliptusowe całkiem jak martwe, jeśli uschną, to pożar nas jesienią zniszczy, jeżeli nie będzie trzęsienia ziemi. Poza tym sztormy od morza i ulewy.

Po Dostojewskim mogę odpocząć, wykładając może nie tyle literaturę polską ile to, co wpajali mnie na uniwersytecie Stefana Batorego wg podręczników *Historia ustroju Polski* Kutrzeby i *Historia ustroju W. Ks. Litewskiego*. Dobrze, że Jean-Jacques Rousseau The Governement of Poland** wyszła po angielsku i nawet w *paperback*. Ale oczywiście sam sobie narzuciłem różne zatrudnienia. Wizyta Jasia i Hanki[1] była b. miła. Mnie zapraszali do New Jorku, żebym wziął udział w sympozjum na zjeździe slawistów w kwietniu, o przekładach. Nie pojadę. Co o przekładach mam powiedzieć? Niech sobie Czukowskiego jeszcze raz odczytają. I po diabła ja mam zawsze w cudzej skórze występować, całe życie, dlatego że raz mi się zechciało wystąpić w roli „przeszczepiacza" czyli filatelisty? Pewnie z tymi rzekomymi przekładami poezji to nieporozumienie, lekceważenie prawa języka, w każdym języka innego, tak że ułuda poezji tłumaczonej mogłaby być punktem wyjścia do ataku na ułudę głębszej natury. Należałoby odczytać parę stron St. John Perse'a po francusku i potem wyjść. Ale co mi tam.

Dobrze, że macie słoneczne dni czasem.

Ściskam was oboje

Czesław

---

* (fr.) – to daje do myślenia.

* (ang.) – Rząd Polski.

[1] Jan Lebenstein i Hanna Patkowska.

Listy Artura Międzyrzeckiego do Czesława Miłosza

3 II 1973

Kochany Czesławie,

Piszesz, że pijąc bourbon rozmyślasz o rozpaczy amerykańskich poetów – i o Roethkem – i w tym kontekście o sobie: czy mógłbyś sobie na to pozwolić?

To jest właściwie pytanie straszne – i też na nie odpowiadam po nalaniu sobie szklanki whisky. Ale nie tknąłem jeszcze, żadnych tu nie wypisuję rzeczy euforycznych, przeciwnie. Zastanawia mnie, dlaczego właściwie – w imię czego – uważam, że moja rozpacz jest lepsza, czy bardziej uzasadniona, od rozpaczy Roethkego. Przecież to nonsens. Odmawiam komuś takiego prawa, bo ma lepszą sytuację – i tu: jaką? Materialną? Więc o to idzie? Albo też: historyczną? Właściwie nie ma na to odpowiedzi sensownej. My jesteśmy *rangés** w sposób naturalny, i – znowuż: okropnie to wyznać – ta cała wyższość (poloka, wschodnio-europejska) tak mi przypomina znaną mi z wojska wyższość wojskowych – w ich mniemaniu – w stosunku do cywilów, że trochę się robi nieprzyjemnie. Rozmawiałem – dużo – z przyjaciółmi z kraju. Obiektywnie biorąc, oni reprezentują jakiś rodzaj obłaskawionego szaleństwa. I ja też. Niby z Long Island mam dystans. I co z tego? Jak kończą się rozmowy? Kiedy Andrzeja, mego przyjaciela, przyprę, to mi odpowie: więc co? mam się podpalić? A on mnie może przyprzeć do muru – w taki sam sposób. Pisałeś w *Prywatnych obowiązkach* o Gombrowicza ostrodze: to jest to właśnie. Kupa ta sama co i w *Ferdydurke*, ale inaczej spięta, społecznie i historycznie. Wszystko wynaturzone: skurwienie i anomalia. Tradycje romantyczne? To u Ciebie jest. Jeśli chcesz zachichotać szatańsko, *allez-y*. Ale to jednak tak. Natomiast dla kolegów naszych tradycja romantyczna to jest rodzaj kombinatoryki narodowej. Można ją podlać każdym sosem, najlepszy endecki, bo bezpieczny – i, owszem, robią to aż im się uszy trzęsą.

Ja się zastanawiam ciągle – i to mi naprawdę ciąży – czy wypada w ogóle zajmować się np. wierszami. Wykładam na przykład – i dziwnie mi, bo o czym właściwie. O magii nieskutecznej. Przecież od pewnego czasu ten język magiczny oderwał się od swego przedmiotu i kapłani to wiedzieli, stworzyli

* (fr.) – zaszeregowani.

mowę autonomiczną. Bunt Rimbauda – to jest to właśnie, pragnął wrócić w alchemię. I nie dało się. Taki Valéry – wielka inteligencja – wiedział o tym. I pewno Oskar Miłosz. Ale cały symbolizm był *magie sans espoir**, do Rilkego, Leśmiana. Tego Eliot nie chciał – ani Mandelsztam. Ale mogli wrócić do religii, nie do magii. I to oderwanie nie jest bez rezultatów: cała sztuka współczesna jest niesprawdzalna – i super-gatunek, jakim jest krytyka, np. w Stanach, tylko temu przyświadcza. W Polsce zbawia nas okres historyczny. Poeci-obywatele, taka jest w końcu formuła i boleść, rozpacz jest obywatelska, wpisana w historię. Tutaj – nie. Ginie się bez odwołań do niczego, egzystencjonalnie – i nie patrzy współczująco oko dziejów. Wskutek czego czepiają się natury. Rousseau! Thoreau! Mój Boże, przecież to jest tampon naiwnych. Natura nie jest to ich mama – i da im w dupkę, chociaż tak się jej podlizują.

Francuzi: jakiś instynkt im podpowiada, że na wschód jest inna scena. Zmieniają ton momentalnie. Taki Cassou, Char, Frénaud: dla nich pisarz polski jest skazany właściwie na wygnanie – i piszą mu o Literaturze od dużej litery. Bohater Mrożka, ten groteskowy, czuje zamówienie. A że urzeczywistnia je bez wdzięku, to inna rzecz.

Tutaj: przyznaję, że rozpacz może być czysta. To w końcu kraj, który uciekł od historii. Ci bieżeńcy nieszczęśni zrobili super-mocarstwo. I co? I właśnie to, o czym piszesz. Nie mam na to innego pomysłu. Wczoraj czytałem w „N.Y. Times" o zebraniu z udziałem Nixona, setki senatorów i oficjałów, zebraniu religijnym. Graham zwrócił się do Pana Boga. Ktoś powiedział: „wszyscyśmy grzeszni". Patrzyli na to: ambasador rosyjski z burmistrzem Moskwy. Gdyby mogli, to by się pewno przyłączyli do tego lamentu. I nie wpłynęłoby to na pewno na ich działania nazajutrz. Wszyscy jesteśmy *rangés* – i my – i oni też. To, co piszesz – że wszystko jest, jakie jest, bo tak sądzone – przyjmuję z całą pokorą. A że czasem się budzę w nocy z krzykiem, to już nie ode mnie zależy.

Mądry jest Twój list. I w ogóle losom dziękuję, że mogę Ci napisać od czasu do czasu. Nie uważać: co za ulga.

Pytanie Twoje tak brzmi:

„a jeżeli ja bym sobie pozwolił na to, na co oni sobie pozwalają – w sensie naszej rozpaczy – dobrze by to było? czy źle?".

To, co pisałem, z tym się wiąże. Nie kluczę. Tak to jest. Taki Bryll to nie jest w końcu, jak ktoś napisał, Kassandra na etacie (pamiętam, co o tym mówisz w eseju) – tylko spryciarz z talentem, obsługujący ekipę przy

* (fr.) – magia pozbawiona nadziei.

władzy. Przychodzi na zebranie Pen-Clubu z zadaniem, np. upomnieć się o Andrzejka, którego nie przyjęli. W wierszach też wypełnia zadanie. Na co się powoła? Na mecenat renesansowy. Na Polskę piastowską. I o nic tu nie będzie chodzić z wyjątkiem doraźnego alibi. Czy zauważyłeś, że *Romans zimowy* jest, politycznie biorąc – na zimno – o niczym? Tam mechanizmy polityczne wyglądają na nieuchwytne. A nie są uchwytne. I poza tem: historyzm najzupełniej pozorny. Dlaczego? Bo te sprawy – po większej części – nie zaczęły się w 45 roku, tylko wcześniej. Np. w 1922. Ciekawe, że taka rzecz jak zabójstwo Narutowicza, „żydowskiego elekta", a także elekta białorusko-ukraińskiego, jest to rzecz, o której w kategoriach politycznych nikt nie rozmyśla. A jest o czym. Czapski do Ciebie ma pretensję o model intelektualisty? Wolne żarty. Kto opisał sprawę prawdziwą Eligiusza Niewiadomskiego, polskiego inteligenta? Artykuł Sokolicza w paryskiej „Kulturze" zdumiał mnie. Jak piękny nietakt.

A *Romans zimowy* to jest, od początku do końca, lepszość. Nikt za nic nie odpowiada, męczymy się, robimy co możemy. Dobrze. Ale jakiś Amerykanin powie: no cóż, każdy ma to, na co zasłużył – i co odpowiem? Jałta? On też wie o Jałcie. Fakty polityczne – 56, 68 – to tam jest tło tylko, i niejasne. Że niby na górze chcą, to odwilż. Nie chcą, to zima. I tak dalej. Niby tak – a niezupełnie. I wiesz co to jest? To jest mowa ludzi, których bardem jest Kocio Gała. Za nic nie odpowiadamy; amen, do Bułgarii można jechać w tym samym miesiącu, kiedy wojska PRL wchodzą do Pragi. I co? I nic. Powiedzą Ci: więc mamy się podpalić? Natomiast kozły ofiarne, owszem, chcą mieć. Paru pisarzy, paru intelektuałów. Niech sobie robią gesty – i niech się odczepią. Twoja rozpacz by ich urządzała, owszem. Ale nie Ciebie. Wolę już wściekłość. I to jest – może – polski wariant. Na jedno wychodzi? Może.

O Herbercie w Iowa nic nie wiedziałem. Engle[1] z żoną odwiedzili nas. Mowa była o Karpowiczu, może jeszcze o Braunie. Zbigniew (Herbert) przyjechałby może z nowej puli, na krócej. O tym wspominał Engle przed rokiem, ale po wizycie w Warszawie nie wracał do tego. Coś tam nie bardzo dobrze wyszło – i nie dojdę. Engle zresztą spogląda domyślnie na wiele stron. Spojrzenia na Berkeley i Stony Brook wyglądają na coraz krótsze. Pytał o następnych kandydatów, wspomniałem o Abramowie, Grześczaku, Barańczaku. Zainteresował się, zawiózł te nazwiska do Waszyngtonu, jeśli się nie mylę. Ale mogę mylić się, to prawda.

---

[1] Paul Engle – poeta, inicjator i opiekun International Writing Program w Iowa.

Olśnienie: znałem tekst Osk.[2] Miłosza o poezji, ten, który przytaczasz, bo znalazłem to kiedyś, fragmentarycznie, w artykule Edmond Glissarta w „Lettres Modernes", w końcu lat pięćdziesiątych. Z tym, że Glissart sobie przywłaszczył parę sformułowań. Nie podając źródeł. Sama myśl spodobała mi się (o poezji jutra) i przetłumaczyłem ją (!) w „Nowej Kulturze" 1958. Później w *Poezji dzisiaj* było to przedrukowane, razem z tym zdaniem Glissarta, które było nie jego własne.

Co w Stony Brook? Niewiele. Był wieczór poetycki Jacka Thompsona. Jeszcze jeden poeta-szkolarz. Zupełnie rozbity po śmierci syna (w zeszłym roku), którego uwielbiał. Pił później na umór. To jest okaz autentyczny – i ręce mu drżą. O wykładach już Ci pisałem. Mam na seminarium siedemnastu studentów. Jacy są, możesz sobie wyobrazić: wrażliwi, otwarci, ujmujący. Luki przy tem, które znasz.

Zadziwił mnie Brodskij w Twojej relacji. Ta gwałtowność – jednak – pewno przejdzie. Myślę o tym z mieszanymi uczuciami.

Co do Karpowicza i jego tomu: nie mam innego na to poglądu niż Ty. Kupuję z dobrodziejstwem inwentarza. Karpowicz z Buczkówną, skoro o tym mowa, prowadzili w „Poezji" dział wierszy. Nie wtrącałem się do tego, miałem inne kłopoty. I teraz też pewno by się znalazły. W Warszawie trudno bardzo poruszać się w tym kręgu. Z jednej strony Antoni[3], który – jak go kocham – przesadnie nieprzemakalny na teksty z ostatnich nie lat nawet, tylko dekad. Z drugiej Przyboś z Jastrunem, w spięciu humorystycznym.

Owszem, zabierałem głos, jak wiesz, bo nie wytrzymałem. Ale byłem sam zupełnie – i to nie w tonacji skargi piszę, tylko na zasadzie opisu sytuacji. Sam – nie po ludzku. Byli ludzie bliscy. Ale albo poza grą, albo – przeważnie – załatwiający własne sprawy, ostrożnie. Zbigniew (Herbert) jakoś w tym pływał dobrze; a ja się darłem, i wściekałem – i gówno z tego wyszło. I masa czasu stracona, i sandauerowsko-przybosiowe nienawiści. Później mnie wsparli Jarek Rymk.[4] i Przybylski[5]. Oni znowu przesadzili z klasycyzmem, Spitzerem i Curtiusem. To znaczy za bardzo to było na wierzchu. Ale bardzo ich lubię. O Przybylskiego ostatnich kłopotach pisałem Ci – w związku z Mandelsztamem, ale to przeszło.

Czym się zmartwiłem? Że Twój tom przełożony, ten po angielsku. Ale przecież wyjdzie – i wszystko zrobione, w sensie przygotowań.

[2] Oskara Miłosza.
[3] Antoni Słonimski.
[4] Jarosław Marek Rymkiewicz.
[5] Ryszard Przybylski.

A że nie przyjeżdżasz, z referatem o przekładach, rozumiem. Żałuję tylko, że stracona okazja, żeby się zobaczyć.

Listy z Warszawy: nic takiego. Ale: bardzo smutny list od Iwaszkiewicza, i – jak to u niego – z wyrazistymi szczegółami. Śpi na przykład – tak pisze – w żelaznym łóżku (za krótkim) po Lilpopie, po obydwu stronach pieski wiernie śpią – i te pieski okropnie śmierdzą. Ciągle do Złotych Godów wraca, ale i wspomina o Paryżu z Gierkiem, a właściwie o Pompidou. Lubi to jednak. I wiersze pisze ciągle. I na „Twórczość" się skarży i na to, co tam piszą czasem. I nie widzę wcale, żeby miał – jak z Warszawy słyszę – zrezygnować w lutym z prezesury. Od początku w to nie wierzyłem.

I co jeszcze? Życie jakie jest. Wczoraj zalało parking przed super-marketem, myśmy tam akurat parkowali, kiedy się ten deszcz wielki zaczął – i efekt: dźwig, suszenie motoru w stacji benzynowej obok – i zupełnie mokrzy wróciliśmy do domu. I poczucie szczęścia: kawa gorąca, jakiś alkohol i położyć się, i czytać – królestwo prawdziwe. Mogło być z tego zapalenie płuc, ale nie było – i, widzisz, same dobre rzeczy. Pojechaliśmy do kina na *Summer 42*, teraz słucham Vivaldiego ze stacji „New York Times".

No i nowego mamy kardynała. I nową – też: mamy – konferencję europejską. I dużo rzeczy innych także mamy.

Czy przeznaczenie zarysowane ostatecznie – także? Nie wiem. Piszesz o tym. Że w Twoim wypadku – tak, i że „darmo brykać przeciw ościeniowi". Myślę, że cudownie piękny ogień zapaliłeś w Waszym domu nowym, w Berkeley i – co tu mówić – grzałem się przy nim, jeszcze w Iowa. Zaliczam Cię do bliskich – i pewne strony przeznaczeń, po prostu, uchylam. Co mogę innego robić? Patrzę tu na Julię, na Danielę[6] – i myślę: Bogu dzięki, że są. Andrzej tu siedział z nami, czasem się na niego wściekałem, w duszy, z powodów nieosobistych – i pewno z mojej winy, bo, jak Ci pisałem, ja nie rozumiem, co to jest „sytuacja pisarska", „passa literacka", w pewnych warunkach i też mało mnie obchodzi, ile eksportuje NRD towarów – ale przecież, ile razy schodzę na dół, to jakby tam siedział na swoim miejscu nad gazetą i trochę cieplej mi się robi, i nic dodać. Nie wiem, gdzie będę za rok – i mniej to straszne, niż myślałem. Pożyczyłem z biblioteki niektóre tomy, które mam w Warszawie – np. Junga albo Guittona – i spoglądam na nie, kiwam głową, co to jest? Rodzaj szyderstwa. Książki te same, ja – i co? Nie mam pojęcia. Nigdy nie odczuwałem takiego zadziwienia, jakiegoś esencjonalnego. Kiedy

[6] Daniela – córka Julii Hartwig i Artura Międzyrzeckiego.

czytam, w Twoim liście, o ościeniu-losie, też mi dziwno. Dla mnie to woda jakaś zamglona, żadnych konturów. I wykłady też z mgły kroję, Nimfa podstarzała.

Na Long Island śniegi krótkie się skończyły i – jak z tej wczorajszej historii samochodowej wynika – deszczowo już. Luty – i za cztery miesiące skończy się tegoroczne Stony Brook. Szkoda, że nie śni mi się to wszystko. Obudziłbym się i pojechał dokądś, do Obór może, i spotkałbym na tarasie np. Wata, w rozłożystym kapeluszu. Ale to nie sen, i „płynie-płynie Oka – jak Wisła szeroka", ale to już nie Wat, tylko Ważunio[7]. Nieszczęsne polskie Żydy śpiewające. Dwa narody wybrane w jednym – to już jednak trochę za dużo.

Mam nadzieję, że Cię nie znudziłem. Jeśli tak, to wybacz. Ten list dojrzał do kosza już gdzieś na drugiej stroniczce, ale niech mu będzie.

Ściskam Cię mocno, serdeczności ślemy oboje, dla Ciebie i Janki,

Artur

P.S. Simpson[8] uważa, że na T.S. Eliota i Pounda, w okresie „Blast", ogromny wpływ wywarł nie tylko Ford, ale także Conrad, i że się tego wpływu nie docenia. Ten też zresztą, tj. Simpson: rozpacz zupełna, czasem samobójcza. Czym byłby np. w Rosji? Tu wyobraźnia staje. Wszystkie przypuszczenia – za łatwe – więc i funta kłaków nie warte A.

P.O. Box 548
State University of New York
at Stony Brook
Stony Brook New York 11790

Program in Comparative Literature
telephone: (516) 246-6059

21 II 1974

Kochany Czesławie,

dwa drobiazgi, które mogą Cię zainteresować: 1. Nota *Prywatne obowiązki* w „Tygodniku Powszechnym" (z 10 albo 17 II) podpisana jw., pewno Jacek

[7] Adam Ważyk.
[8] Louis Simpson – poeta amerykański.

Woźniakowski. Odwołując się też do nie znanych mi ech w „Mies. Lit."[9] – może i Ty o nich nie wiedziałeś, więc rzuć okiem, jeśli zechcesz.

2. Piszą mi, że wiadomość o nagrodzie Pen zamieściło „Życie Warszawy".

Obydwie rzeczy sprawiły mi przyjemność. Twoich *Selected Poems* nie otrzymałem jeszcze, pieszo idą. Poprosiłem w tutejszej księgarni, żeby sprowadzili, ale to też potrwa.

Poza tym: dennie u mnie. W Stony Brook prawdziwe życie jest nieobecne. Rębajło[10] wieszczem był. Julia w marcu jedzie na odczyty w Ottawie: o poezji polskiej – i o Apollinairze albo Nervalu (dopiero to ustalają). Daniela: dobrze.

Karpowicz pisał. Inni – z Warszawy – też. Byli tu Braunowie, mili – i przypomniałem sobie tzw. szczegóły naszego poprzedniego – i może przyszłego życia. Szczegóły nawet w korespondencji bywają irytujące. Piszą: zdjęli szkic Przybylskiego o moich wierszach. Pytam: gdzie? Nie odpowiadają. Listy Rysz. Przyb. do mnie nie dochodzą. Głupie to i nasze.

W Chicago Terlecki z Sandlerem postarają się, żeby tam mnie nie było – i też pięknie. Jeśli będzie Karpowicz, to i tak nie najgorzej. Z Milwaukee – też jak w powieści: „głuche milczenie było mu odpowiedzią". No i też pięknie.

Co pewien czas jedziemy do miasta, żeby coś zobaczyć. Onegdaj pojechałem z Simpsonem na jego wieczór poetycki w Donnel Library. Robi to „The American Academy of Americans Poets" i robi dość sympatycznie. Frekwencja jak w Związku Literatów, i nawet twarze podobne. Później trochę wina – i znasz to wszystko. Wprowadził Simpsona James Wright, robi autentyczne wrażenie. Wszyscy chorują na *Simplicity** – myślałem, że to odosobnione przypadki (mnie też dotknęło osobiście) – ale widzę, że epidemia. I jak to zrobić? Im wychodzi nie *Simplicity* tylko twórczość tzw. popularna, i to nie to.

Z Braunami pojechaliśmy kiedyś na koncert w Town Hall, inaugurowali festiwal muzyki amerykańskiej, i wiem – był międzynarodowy. Otwierała go nasza znajoma stąd, Elizabeth Patches – i śpiewała po polsku (a jakże, nauczyła się – i Julia jej trochę pomogła) *Litanię* Szymanowskiego do słów Lieberta. Nie ekscytuje mnie to, myślę, że w końcu są to rzeczy normalne – i pewno to i lepiej, że żadna Polonia ani o tym nie wiedzą, ani się tym nie nasładzają szczególnie. Coraz trudniej przychodzi mi zrozumieć

* (ang.) – prostota.

[9] „Miesięcznik Literacki".

[10] Artur Rimbaud.

ten jakiś kompleks mniejszej wartości, który panuje na emigracji – i w kraju też, i nowe to nie jest, przecież międzywojenne dwudziestolecie było pod tym względem smutnie reprezentatywne.

Owszem, Ty z tego punktu widzenia jesteś raróg. I Stempowski też raróg – i ciekawe, że ludzie z tzw. Kresów (Pruszyński np.) o tyle bardziej niezawiśli duchowo od warszawskich kolegów. Nawet Jarosława[11] to – w twórczości – dotyczy. No, to nic nowego dla Ciebie. Uogólnień też obawiałbym się: myślę o takim Miriamie, jego zasługach – i nawet o Hulewiczu, chociaż to już były Himalaje niemożności. Więc: nie, nie uogólniam. Ale kiedy zaczęła się prowincjonalizacja? Pewno zaraz po romantykach. Ciekawe, że Norwid – jako osobowość, rodzaj obecności w życiu – bliższy jest bohemie zdegradowanej niż Mickiewicz, w końcu niesłychanie obowiązujący jako model. Właściwie: forytowanie Norwida przez takiego Kliszkę – i jednoczesny zakaz *Dziadów* – to było politycznie zupełnie logiczne. I taki Przybunio doskonale mieścił się w tym modelu. Bryll – mądrala wywlekł „tradycje renesansowe", bo w podtekście był mecenat i tematy rozpisane na poetycki turniej, i też niegłupio. Jeszcze trzeba było – bałem się, że to zrobią, ale jakoś tylko Gała to zauważył – wykorzystać wulgarnie wstęp do *Promethidiona*, o pięknie i pracy, i zrobić z tego dialektyczną śpiewkę. No, koniec z tym. Ciekawe, tylko że nie mam sił tego opisywać. Znasz to. Dowcip Antoniego o dwóch cadykach w pociągu: siedzą i przez całe godziny nie odzywają się do siebie. Podróżujący z nimi ziemianin: jak to? Ani słowa? Nic nie macie sobie do powiedzenia?

Jeden z nich, gładząc długą brodę:

– Panie dziedzicu, on wszystko wie, i ja wszystko wiem.

U nas w San Francisco właściwie niesłychane rzeczy się dzieją. Okropna historia z Hearsta córką – i źle się pewno skończy. Co z tego wszystkiego będzie? Dzisiaj znowu porwanie liberalnego dziennikarza. Jak zakończenie *Wehikułu czasu*. Wiadomości o Sołżenicynie – i nowiny o Hearstównie: tak się składa. Cyniczny artykuł Safira o Sołżenicynie (*Sołżenicyn without tears**) w „N.Y. Times" to właściwie nie do pomyślenia: tak bezbłędnie zrealizowane przymuszenia (jeśli o reakcje zachodnie idzie) rosyjskich oficjałów, polityczny pawłowizm czy jak, i też: niby trudno się dziwić, ale trzeba w końcu. Wczoraj, w związku z wierszem Quasimoda, dwie studentki pytały mnie, co to jest „Auschwitz". Wyjaśniłem. I co więcej powiedzieć, nie wiem. Jednak: dziwno.

---

* (ang.) *Sołżenicyn bez łez*.

[11] Jarosław Iwaszkiewicz.

Ucałowania dla Janki – i serdeczności od Julii.
Ściskam Cię mocno.
Artur

P.O. Box 548
Stony Brook, N.Y. 11790

23 III 74

Kochany Czesławie,

Gratuluję Ci *Ogrodu nauk*, świetne, przejrzyste, krzepiące. Jednym tchem przeczytałem, sto rzeczy przyszło mi do głowy – i zapisałem je nawet, odkładając na później, do rozmowy. Krzepiące: bo taka jest tożsamość, jeśli się zastanowić.

Przy wszystkich zmianach w nas – i naokoło nas – w tej świątyni (przecież tak) i w tym bordello (jednak), i jednak, jak w Rilkego sonecie o róży:

And recollection goes out to meet it,
Granted by hours we can still recall.

W Twoim liście, który bardzo nas wzruszył, też to było: Ty, Cela Bazyliańska i Zatoka San Francisco w jakiejś jedności śnionej. Więc co Ci mogę powiedzieć? Duch Twój zwycięski. Czego jeszcze można żądać od losu?

W moich notatkach wspominałem epigramat Hadriana, w związku z *Pneumatikos* i *Psychikos*. Tam duch duszyczkę opisuje. I obraz zapisałem Norwida, taki, jaki od lat mam w oczach: stary jest, w rozwianym płaszczu, nieobecny trochę, wkracza do salonu jakiegoś (do Krasińskiego?), od kuchennych schodów. Światło to ma jak w dagerotypie Nadara. Zażenowanie z powodu Norwida? Tak. I katastrofizm jako próba wymiaru – też najlepsza ze znanych mi definicji. Najlepsza, bo z dalszym ciągiem możliwym, nie szkolna, prawdziwa. Wreszcie – tu do tożsamości wracam – sprawdzona. Dobrze, niech zdychają *malaise** i *nausée***! Na pohybel.

Do Przybunia – wspominasz w liście, że nie pojmujesz źródeł fascynacji – już nie wracam. Fascynacji tam chyba nie ma. Było to fikuśniejsze danie

* (fr.) – obolałość.
** (fr.) – mdłości.

w socrealistycznej stołówce, i to pewno wszystko. Inne rzeczy – znane i omówione. Czasem zdarzały się schizofreniczne momenty. Kiedy opublikowałem kiedyś opowiadanie *Zegarmistrz Piko*, Sandauer stwierdził, że o Przybuniu. Nawet mi to w głowie nie postało. Pisałem o epoce bazgraczy i pozorów. To było w tomie *Śmierć Robinsona*, bliższym mi niż znane Ci *Opowieści mieszkańca namiotów*. Jeśli chciałbyś *Robinsona* przeczytać, byłbym uszczęśliwiony. Napisz słówko – i zaraz wyekspediuję.

Do Chicago też już nie wracam. *Chairman* (Moravcevich) przesłał mi stamtąd kurtuazyjny list, nawet zapowiadając, że po odejściu Terleckiego chciałby wznowić sprawę. Więc tyle. Z Karpowiczem rzecz załatwiłem, jak wiesz, więc nie będzie kwasów ani duszy. Co dalej? Sam nie wiem.

Z wielu względów urządzałoby mnie jakieś zajęcie w Kanadzie. Nie wymieniam tych względów, bo nudne są i formalne: idzie o utrzymanie statusu, możliwość powrotu. Gdybyś cokolwiek wiedział, daj mi znać, bardzo proszę. Julia będzie w Ottawie z odczytem o poezji polskiej, i o swoich Francuzach, ale będzie krótko – i pewno niczego nie zdoła załatwić. Mało tam znajomych. I nikt nic nie może.

Travis Bogard na list Kotta nie odpowiedział jeszcze. Podobno ma być w tych stronach. Nie wiem. Wykłady moje *sans histoire**. Z zajęć: zrobiłem sobie powtórkę z Gogola – dużo się tam rzeczy zaczynało – i widać już Becketta. Po drodze *Ludzie wydrążeni*, fragmenty Benna – ale widać zupełnie dobrze. Dobre porównanie Gogol – Mickiewicz w książce Ehrlicha, parę zdań tylko, ale trafnych. Nabokowa szkic też ciekawy. Szkoda, że miejscami wypindrzony trochę, i na zasadzie „ja dopiero" i „ja jeden", i jak *ptica* Feniks opada.

To, że myślisz o Rosjanach – to z Twego listu – wydaje mi się w naturze rzeczy. Co tu mówić: centralna scena, z próbami i repetycjami od końca zeszłego wieku. Ciągle żałuję, że nie słuchałem Twoich wykładów o Dostojewskim. Tutaj też scena centralna i myślę, że to doświadczenie paroletnie dużo w naszym życiu – w naszym, bo i Julii – zmieniło i przemeblowało. Również dlatego marnie mi się pisze, chciałoby się zacząć wszystko od nowa, do tego niepokój, przeprowadzki, myśli trujące. Ale ufnie czekam. Co zyskałem poza tem? Jednak – inną perspektywę. Myśmy właściwie jeździli z Warszawy do Paryża jakby z Polszy po Powstaniu Styczniowym (albo Październikowym) do stolicy Drugiego Cesarstwa. Dwuznaczność De Gaulle'a nawet do tego

* (fr.) – bez problemu.

pasowała. *Durez** – i nie brykajcie. Jakby Ludwik Napoleon przemawiał. Poza tem przesunięto granice *Belle Epoque*, do 1939 roku mniej więcej, najdowolniej – i rozeznaniom czasu i miejsca to nie pomogło. Gombrowicz – opisuje to również w *Dziennikach* – jechał do Paryża tak jakby nic nie zaszło w ciągu tych trzydziestu pięciu lat. A co dopiero inni, posiadacze paszportu na dwa miesiące i wizy na miesiąc, bohaterowie nieszczęśni Wańkowicza (*Monte Cassino*) i Mrożka („za wolność wybili...”). Ciebie także, po pobycie tutaj, lepiej chyba rozumiem, i lepiej czytam. Myślę o sprawach dzisiejszego Zachodu np., ale nie tylko o nich.

Mrożka wspomniałem: widziałem go właśnie w Nowym Jorku, prowadził jakieś zajęcia w Pensylwanii, jedzie do Kanady – później na konferencję na Madison University, gdzie ma być także Grotowski – i wraca do Paryża. Jego relacja ze stanu rzeczy w Europie była czarna zupełnie i pewno Cię to nie zaskakuje. On sam: poważny, cierpiący, ciepły. Pierwszy raz rozmawialiśmy naprawdę.

Z innych okoliczności: był tu Węgier z Cambridge, Gömöri, znasz go – zdaje się – z Berkeley. Jakiś nijaki. Miłe, że Twój pokłonnik. Ale co to i kto to, nie wiem – i pewno się nie dowiem.

I to już pewno wszystko. Onegdaj oglądałem w telewizji amerykańskich bohaterów 68: Hoffmann, Jerry Rubin, Davies – i czwarty, mąż Jane Fondy. Prawdziwe *vieilles barbes***. Szybko to idzie. Ich konserwatywni oponenci też z innej epoki, i też szaleni. Jedni i drudzy z odpowiednikami we wschodnim *establishment*, chociaż pierwszych szybko by wywalono.

Zwyczajowy fragment chiński: dziwy tam jednak. I nikt nie wie, jakie mianowicie. Może być jak w warszawskiej anegdocie: wsiadłem do taksówki, patrzę, taksówki nie ma, szofera nie ma – i ktoś stoi i bije mnie po mordzie. Tu może się okazać, że Konfucjusza nie ma – i tak dalej.

Ogród opiłem brandy marki Jacquin’s. Twoje zdrowie także, i Julia mi towarzyszyła. Przygoda z zastrzykiem przeraziła nas trochę – i mam nadzieję, że już o tej ciężkiej chwili nie zawsze pamiętasz.

Ucałowania dla Janki. Julia śle serdeczności.

Ściskam Cię mocno,

Artur

PS. Jeszcze nie doszły Twoje *Selected Poems* (!)

---

* (fr.) – trwajcie.

** (fr.) – starzy nudziarze, tu: przeżytki.



Fot. Archiwum Julii Hartwig

Od lewej: Artur Międzyrzecki, Kazimiera Kijowska, Andrzej Kijowski, Julia Hartwig, Stany Zjednoczone, lata siedemdziesiąte.

List Artura Międzyrzeckiego wysłany do Andrzeja i Kazimiery Kijowskich w roku 1971 z Des Moines, gdzie wykładaliśmy wówczas oboje na tamtejszym uniwersytecie i dołączony list Julii Hartwig.

Andrzej Kijowski i jego żona Kazimiera byli zaprzyjaźnieni z nami już w okresie poprzedzającym nasz wyjazd do Stanów w 1970 roku i przyjaźń ta nie wygasła do ostatnich chwil życia Andrzeja Kijowskiego, który umarł w roku 1985.

Wymienialiśmy regularnie listy z Andrzejem podczas naszego pobytu najpierw w Iowa, a potem w Stony Brook, na Long Island, gdzie odwiedził nas podczas Świąt Bożego Narodzenia z okazji swego uczestnictwa w International Writing Program w Iowa.

Nasz powrót do Warszawy w roku 1974 oznaczał również powrót do przyjaźni nieosłabionej naszą nieobecnością w kraju.

Odejście Andrzeja stworzyło wielką lukę w naszym życiu. W przemówieniu nad grobem Artur Międzyrzecki nazwał Andrzeja swoim młodszym bratem.

(j.h.)

1417 27th Str. Apt. 2
Des Moines, Iowa 54
USA 50311

1 XII 1971

Drodzy, Kochani, przyszły wasze listy z 28 XI, odpisuję zaraz – pod tą choinką, już przedświąteczną. Nasze pisanie świąteczne, przestraszeni ruchem na poczcie i afiszem wzywającym do wcześniejszego wysyłania *greetings cards** do Europy – wysłaliśmy już do Warszawy, pewno Was tam oczekuje. Będą więc dziwy z chronologią listów, no, ale mniejsza o to.

Wasze listy bezmiernie dla nas ciekawe. I więcej – co tu mówić, najszybciej się nimi wzruszyłem. Tym, co piszecie – o sobie, o nas, o tym, co nas łączy – i waszymi twarzami, waszymi oczami, które tak wyraźnie ujrzałem przed sobą – i teraz widzę – jakbyście byli przede mną. No i pewno jesteście. Myśl o tych kilku osobach kochających niech Wam spokoju nie daje i niech towarzyszy wszystkim rozważaniom o przyszłości: tak piszecie – i tak jest w istocie. Miałem dość dużo czasu – w tym parę miesięcy samotności – żeby to sobie uzmysłowić. To jest jednak – co tu dużo mówić – czas atomizacji zupełnej. Mieszkania są z nami – bardziej niż ulice, miasta, kraje – mieszkania, i ci, co tam przebywają, i ci, którzy tam zachodzą, i na których się czeka. Owszem, paru ludzi – i to jest skarb ofiarowany, najszczodrzej, przez los. Ja w tym teraz widzę – w tym: to znaczy w naszej przyjaźni, w naszych wspomnieniach o sobie, w obecności ich ciągłej – jedyne właściwie potwierdzenie tożsamości własnej i – czy ja wiem – gdyby to takie nie było pompatyczne, to bym napisał: życia. Biografię moją wojenną też – uobiektywniło dla mnie samego – bo mgliste to dla mnie, jak sen, i był to rodzaj snu – tych dawnych paru kolegów, którzy wszędzie, w Chicago, w Kanadzie, przychodzili na odczyty, telefonowali z daleka, jakbyśmy się wczoraj rozstali, w Mediolanie albo w Bolonii. Co mi w tym przeszkadza: gdybym po wojnie zachowywał się marnie, źle, tchórzliwie, też by tak dzwonili i przychodzili. Nie mogę wyzbyć się takich obaw. U nich te wszystkie Cassina są dalej środkiem życia, wszystko inne – poza tymi centralnymi scenami – jest mniej ważne. No a dla mnie akcenty przesunęły się, w biografii – i tamto, cała wojna, połączyło się z dzieciństwem i pierwszą młodością. Jakaś to jest dla mnie pre-historia. Zamglona już, dzi-

* (ang.) – karty z życzeniami.

wiąca się wspomnieniom wyrażonym spotkaniom po latach – bo przecież nie ma tego już, i trudno uzmysłowić sobie, że było. Piszę to bez smutku i nie żałując. Tak to po prostu jest – i tyle. Julii mogłem przedstawić paru bohaterów moich anegdotek poświęconych tamtym latom – i było to jeszcze jedno zamknięcie koła – nic dodać, nic ująć. Tamten dwudziestolatek – ja dawny – zupełnie się ode mnie oderwał. Zobiektywizowany jest. Obce ja. I nikt za jakąś górą w Apeninach – no i cześć – i nie ma się czym przejmować, bo i nie jest na pewno tamtemu chłopcu źle, pije wino w jakiejś piwnicy, albo czymś się tam ekscytuje, albo wierszyk pisze – no i z Bogiem.

Teraz rzecz następna: *Letters**. O tym nie wiem nic, doprawdy, nic – i nie piszę tego o książkach poszczególnych, o których sądzę, że... – i mniejsza o to, co sądzę – ale piszę o całości, o tym, co zostawiam w tej chwili – i nie wiadomo komu, więc niech będzie: zostawiam na półce jako rzeczy, które podpisałem, napisałem, i które się na tej półce uzbierały. Tu też obiektywizacja pełna – może dlatego, że jestem poza grą – i niechęć do mówienia nawet o tym. Andrzeju, ja wiem, że żyjesz z literaturą jak z cierniem w sercu (Jarosław napisał kiedyś w wierszu: „drzazga w dłoni", nie odnosiło się to wprawdzie do literatury, ale przystaje do tego (o czym mowa)) – i nie piszę Ci o tym na zasadzie krytycznej, artystycznej, intelektualnej i wszelkiej innej, która dążyłaby do uogólnień. Po prostu jest to mój stan: głęboka niechęć do literatury, do *hommes des lettres***, do ich małego serca, biednego sprytu, małoduszności, nieszczęsnej zapobiegliwości. Nawet mniej mnie zajmują takie postaci jak Konstanty Gałczyński czy Dylan Thomas – to już bardzo dalekie, nie do dyskusji – ale postaci bliższe, z pogranicza tego mojego świata, który sam już nie wiem, czym jest (nie wiem, czym nie jest – może to wystarczyć powinno), otóż te postaci bliższe irytują mnie bardziej niż wszystko inne, z ich pół-zasadami, dwuznacznością, miejscem, które wypełniają (na zimno konstatując: pomiędzy policją a nami jest to miejsce), z ich trupojadztwem, tym nieszczęsnym pożywianiem się schedą naszych wielkich szalonych i współobłąkanych, z ich grą bawią się nawet w proroków, zbeszcześcili i umniejszyli wszystko – i nie znam lepszej dla nich nazwy niż dziatwa Antychrysta (nie Apollina) i nie wymówię tego, bo przemienia mnie to zaraz w prowincjonalnego katabasa – więc nie ma wyjścia. Oni mają rację, bo są, istnieją – w swoim cyrku mody (przemoc zaliczam do tego cyrku,

* (ang.) – literatura.
** (fr.) – literaci.

panuje teraz moda na przemoc), a ja mam obrzydzenie, wzgardę – ale nie rację, bo wzgarda paraliżuje, i uniemożliwia twórczość, to nie jest przecież nienawiść – z jej impulsami – tylko wzgarda, z jej poczuciem mdłości. I piszę o tym, bo to rzutuje (piękne słowo) na mój stosunek do własnych także książek. Należą do gry. Valéry miał rację: każdy wiersz jest zdradą. I to prawda. Zdradą poezji – jako stanu, w którym powstał, i nie do wyrażenia – zdradą w czystej myśli czy czegoś w rodzaju myśli; wyjściem ze świątyni na bazar, na tandetę (tak zdaje się mówili w Krakowie), na pchli targ.

Co z tego wynika? To, że pożegnałem <u>naprawdę</u> wszystko, co w moim życiu było literaturą – albo do niej należało. Zrozumcie to właściwie: to nie o gesty idzie, ani palenie rękopisów, ani żadne inne dziecinady. Co więcej: wcale nie zamierzam żegnać pisania. Ale: znowu chcę zaczynać od początku – i inaczej – jakbym się dopiero urodził – i mało mnie nawet (naprawdę) obchodzą rezultaty. Jest coś niejasnego, co ciągle pomijałem. I jest cała przeszłość do opowiedzenia, po prostu. Staram się opowiedzieć, bez usłużnej pomocy cyrkowych przepisów, starych albo nowych, wszystko jedno. Wobec tego nie tylko wojenne sprawy wpadły w studnię. Moje książki także. Zwłaszcza, że strasznie mi dużo tych książek zdeptali: też nie traktujcie tego jako westchnienia czy wyrazu żalu, doprawdy. Piszę to bez drżenia w sercu, bez cienia zniecierpliwienia i – na szczęście – bez próżności urażonej. Nie znaczy to, że nic mnie nie dotyka, niestety, wszystko może mnie zranić, jak każdego, mamy miękkie podbrzusza i na uderzenia nożem od dołu – pamiętam to z ćwiczeń w szkole podchorążych, dziwnych rzeczy <u>uczą nas</u> czasami – na uderzenia nożem od dołu nie ma rady. Są nie do odparcia. A jak uderzy z dołu – mówił instruktor, jakiś sierżant-komandos – jak uderzy z dołu, to trudno, to się pomódlcie. Więc tak, więc – oczywiście – wszystko może zranić, dotknąć. Ale jednak skamieniałem na to, w dużym stopniu. Byłem kiedyś niesłychanie na to uczulony. I cieszę się że tak się to umniejszyło. I za sobą mam tę studnię ze wspomnieniami, z książkami – i, jak to ze studni, wieje trochę chłodem stamtąd. Jeszcze raz: co z tego wynika?

To, o czym piszecie, świadomość kilku obecności, drogich i właściwie niosących jedyne krzepiące przypuszczenie, że, może, nie żyło się na próżno – to jest jedno, co mam. I jedno, z czym się naprawdę liczę, rozważając własne życie – i przyszłość, Julii także, i Danieli – i swoją. W Stanach mógłbym właściwie zostać, na zasadzie uniwersyteckiej, wyłączając się od wszystkiego, co naprawdę obchodzi – i od gniewu, który podchodzi nagle pod gardło – zostać, napisać parę książek, złożyć trochę pieniędzy, wyjeżdżać czasem do

Europy, przejść na emeryturę, zemrzeć sobie bez krzyku (ale to się tak mówi: może bym i wrzeszczał, nie wiem), w każdym razie skończyć to urozmaicone *curriculum vitae*, kiedy pora nadejdzie. To jest pokusa – i nie kryję, że jest. To jak zaproszenie do snu, kiedy oczy się kleją. Rozpręż się, wyciągnij, zasłonię okno – śpij. Nie piszę o tutejszych trudnościach gospodarczych, bo – dla nas – to są śmiechy. Nie piszę o obcości, poczuciu inności – bo to jest jasne. Ani o tęsknocie ogólnej, bo to też jest w założeniu. Ale – w końcu – cała ta Polonia tak tęskni, parę milionów ludzi. Głupich, mądrych, mniejsza o to, ale – ludzi, z takimi samymi prawami do pragnień i rozpaczy, jakie ja mam, ekriwę*. No więc tak. I jest jeszcze obraz Marszałkowskiej na co dzień, i soboty wieczór z jej pijanym tłumem, i wynaturzających sytuacji, których nie musimy sobie przypominać.

Więc do tego wracam? I dlaczego właściwie?

Kazia pisze: do rzeczy, które tylko tam można zrobić – i na myśli ma zawsze książki. I ma rację. Oczywiście, to jest paradoksalne: tylko tam, choć książki nie wychodzą bez cięć. Albo nie wychodzą w ogóle. Tobie Andrzeju, Tobie Kaziu, nie muszę przykładów dawać, znacie je z domu. Do tego – mój stosunek do wszystkich tych spraw, które podobnie jak Was, brzydzą do głębi. Także i tu: komentarze zbędne. I wiem, co wykrzykniecie: czytelnicy. No tak, to jest istotne. Nawet, gdy Ci książki zabierają z bibliotek publicznych – istotne. Ale znacznie mniej istotne niż uczucia, które żywię dla tych, jak piszecie, kilku osób. Strasznie mi trudno dotąd choć stary jestem chłop, wymówić, wykrztusić tych parę słów, które są czymś w rodzaju miłosnego wyznania. Tylko święty albo pijak mówią „kocham", nie zmieniając głosu. Inni – ja w każdym razie także, obawiam się – zmieniają trochę brzmienie głosu, tonację. Obawiam się tego, jakiegoś akcentu nie sztuczności, ale sztuki: słyszy się nagle własny głos, jakby kto inny mówił. Trochę to zawstydza. Jest też pewna magia nazwania. Jakby się dawało ślubną obrączkę – uczuciu, czystemu oszołomieniu. I coś innego się zaczyna, co też jest piękne, ale uładzone, głęboka woda, ale po burzy.

Za dużo gadania. Chciał powiedzieć, że Was kocha. Wywija ogonem – i udaje pawia. I tak dalej. Myślimy o Was co dzień – i tak, jak myślimy o najgłębiej osadzonych wzruszeniach. Pisałem: mógłbym tu zostać. Myśl o zaczynaniu wszystkiego od nowa, tam – wśród tego co najbardziej dokucza: dwuznaczności, nie wielkiej dwuznaczności samego życia, ale naszej dwuznaczności

* (fr.) *ecrivian* – pisarz.

niskich pobudek i drobnych lęków – ta myśl jest ciężka. Ale nie potrafię odciąć się od tego właśnie, o czym piszecie: od miłości, która była nam dana, i nadała sens memu życiu. Takie są szale – prawdziwe. A reszta jest czym jest – i nigdy się o tym pewno nie dowiemy, na szczęście może. Ja tu, kiedy byłem sam, przeżyłem miesiące okropne. W grudniu, dosłownie, wyłem. Moja nieufna podejrzliwość – wynikła z całego nowego doświadczenia – jeszcze się wówczas bardziej nasiliła, odnosiła się jakby do samego istnienia, i wszystkich co są naokoło, albo mają się pojawić. Przyjazd Julii wydawał mi się chwilami beznadziejną utopią. Wszystkie zetknięcia z ludźmi z Europy Wschodniej (nie mówię o przybyszach z Polski) – były dla mnie nie do zniesienia. Jakiś Jugosłowianin z titowskiego establishmentu – irytujący, dzicz z pozorami; jacyś dwaj dwuznaczni Rumuni – unikałem tego jak ognia. To była mentalność, która za dużo rzeczy przypominała. Poza tem: te kłamstwa bezwiedne, niewinne jakby, bękarty strachu i słodkiej redukcji części władz umysłowych – też za dużo rzeczy przypominały. I to szczere spojrzenie „Słowianina, który kłamie" – oczy dezinformacji. Przykrość z Czechosłowakami: zobaczyłeś w wyobraźni sceny z Hercena, braterstwo, ciumy. A jakże! Zrozumcie mnie i tu właściwie: mówię o stosunkach poprawnych. Ale tylko tyle. Czechosłowacy – nieszczęśni, godni współczucia i dobrych uczuć, które im zresztą okazywałem z wszystkich możliwych powodów – reprezentowali jednak stan umysłowy dawnych stalinowców, którzy nagle się obruszyli: coś takiego jak u nas w roku 57. No, ale to już rok 1971. I jak od kogoś bije zapach egzekutywy w stowarzyszeniu aktywnym z lat stalinowskich to trudno, żebyś tego zapachu nie poczuł. No, ale to już głupota. Przyczynki do miesięcy na International Writing Program. Wielkim oparciem – towarzyskim i życzliwym nie zdawkowo – byli Amerykanie. I łączy się to też z Twoim tutaj pobytem. Jeśli mogę Ci cokolwiek radzić: jak się zjawisz nie zapomnij, że zjawiłeś się w Stanach. Nie daj się oblepić przez przybyszów, większość z nich to są gówniarze. Paru jest tylko – przekonasz się – zawsze tak bywa tutaj – ludzi autentycznych na tych Programach. Ja miałem np. Chilijczyka Moravida i Szweda Beckmana – i obok amerykańskich gospodarzy stanowili oni tło moich lepszych wieczorów.

Jakie więc wnioski? Znacie je. Skończy się rok akademicki, zaczniemy się zwijać – i ruszymy do Europy. Myślę o niej z najwyższą niechęcią. Nie, żebym nie lubił, zwłaszcza szczegółów. Ale – w końcu – otrzymałem dużo od kochanego kontynentu naszego („Europejczyk"), wypłaciłem się jak umiałem (przekładałem, sławiłem, nawiązywałem i tego słowa, *continu-*

*ité**, nawet nadużywałem, choćby, i wiedząc, dlaczego tak robię, ale to są belletry**, a kontynent to także realność historii, w dużej mierze skalara. Jest to Jurop***, z duszą do połowy monachijską, i obawiam się, że nie jest to ta nieszczęśliwa i cudowna „*animula, vagula, blandula*" z epigramatu Hadriana, duszyczka, ale dusza spotworniała, i nie po rębodowsku, tylko po monachijsku właśnie. No, głupie – i kropka. Latem mamy, krótko mówiąc, ruszać – przez Paryż – ku domowym prysznicom. Myśląc o tym, przestaję na chwilę oddychać. Co nas tam czeka, nie wiem – i nikt wiedzieć nie może. W każdym razie – własny los. I to wszystko, o czym pisałem – i co rozgrzewa serce. Kochani moi, jakie to jest wszystko smutne, i jakie to jest trudne. Tak się boję, że czas wszystko odbarwia, umniejsza, i tyle nam odbiera, że stajemy się w końcu żebrakami błagającymi o własne życie, które gdzieś się nam zapodziało. A mnie je diabli porwali i niosą je dokądś pękając ze śmiechu? No, można by tak w nieskończoność – pytać. Was, siebie, wszystko i wszystkich. Nic z tego nie wyjdzie. Trzeba żyć pewno. Mam nadzieję, że trzeba. I pomijam szczegóły osobiste łączące się z powrotem. Bo je znacie, wszystkie, i równie dobrze. Podobnie jak Andrzej, nie żywię iluzji chociaż bym bardzo chciał.

Obydwa Wasze listy – powtarzam – bezcenne były dla mnie. To, co Andrzej pisze o sprawach domowych, potwierdza ogólny obraz, jaki mieliśmy. Ale przynosi ten list wiele rzeczy, których nie znałem. Rozmowa z S. – i tak dalej – i wieczorne rozmowy, gdzie Antoni i inni (Sito nawet? Neverly go zaprosił? o, teatrze żywota, teatrzyku, teatruniu, to nieomal jak *animula, vagula*, ale tylko w tonacji, bo w treści raczej bardziej doczesne – no i dobrze, no i klawo, i u-ha-ha, i u-ha-ha), wszystko to czytałem jak kucharka czyta powieść z wyższych sfer. Czyta i tak wykrzykuje: uwiódł ją, widzicie? a to-to-to-to! Albo: o, życie, życie, i jacy to teraz ludzie!

Właściwie to są to okrzyki piękne. Drewnoś[1] i rozmowa w „Polityce": też piękne. Wszystko ciekawe, nawet Bratny o Czesławie – też ciekawe. I miał tu echa, wydawnicze, tego nastawienia (o czym wiesz pewno z Warszawy – a ja wiem od niego). *À propos*: napomnę mu w najbliższym liście o tym, że chciałbyś napisać o jego *Historii literatury*. Berkeley to jednak

* (fr.) – ciągłość
** (fr.) – *belles lettres* – sztuki piękne.
*** (ang.) *Europe* – Europa.
[1] Tadeusz Drewnowski.

także – samotność – i będzie mu miło. Czy napisałeś do Czesława? Zrób to. Mam nadzieję, że otrzymałeś naszą wspólną kartkę z Berkeley (majową). Napisz, bo nie potwierdziłeś. Wysłaliśmy do Ciebie, do Jarka, do Rysia Przyb. Antoniego – nikt nie wspomniał, ale chyba doszły. To zresztą nie jest sprawa, tylko drobiazg – ale, w końcu, każda chwila, kiedy można połączyć się myślą z od dawna nieobecnym, jakoś jest ważna. Czesław wsparł walnie wszystkie moje propozycje dotyczące kandydatur na International Writing Program. Właściwie uzgodniliśmy je wspólnie z Englem. Byłeś nie tylko moim pierwszym kandydatem, ale i jego. Moje stosunki z Englem są bliskie – i wszystkie te sprawy rozgrywają się na płaszczyźnie towarzyskiej. Więc nie martw się, że to skomplikowane. Na zapytania moje z poprzedniego listu – w sprawie Iowa – odpowiedz. Nie jest to rzecz pewna (wykłady), ale chciałbym wiedzieć. Natomiast pewna jest – i bez zmian – sprawa International Writing Program i postaram się ponaglić samo wysłanie zaproszeń (żebyś je miał pół roku przed rozpoczęciem się I.W.P.). Sprawa Karpowicza przesiliła się korzystnie – i wie on o tym. Ale o tym wszystkim już Ci pisałem.

Nowinki: z grubsza je znacie. Wykłady – wszystko dobrze i Drake University udane. Odczyty i inne – też pisałem. W piątek mam tu wieczór poetycki. Czytają przekłady – z tomu[2], który ukazać się ma w styczniu, lutym. I będzie też z tej okazji parę przekładów wierszy Julii. Ona ostatnio robiła korekty Nervala – i przesłała już. Ja robiłem korekty Chara, już na szpaltach, i odesłałem do PIW-u. Kwiatkowski pisał z Krakowa, że już w drukarni nasz Apollinaire – i też trzeba było parę rzeczy zmienić (zrobimy to lada dzień). Oj, Francuzy, Francuzy! Za oceanem to dla mnie – i dosłownie pod każdym względem. Ale jednak coś się dzieje. Przyszedł wczoraj, z waszym listem jednocześnie egzemplarz *Wieśniaka paryskiego* w moim przekładzie. Więc, oj Francuzy, Francuzy – Aragon znowu. I Europa, Europa, Europa humaniorów, jedyny kontynent nie zdekolonizowany, a co mam na myśli, nic, to żart.

Na University of Iowa jedziemy 30 stycznia, więc piszcie na Des Moines z całym spokojem – a później, po prostu na International Writing Program*, skąd na nasz adres właściwy doręczą. Zresztą I.W.P. i moja filologia są w tym samym budynku – i prostsze to, niż się wydaje.

---

* (ang.) Międzynarodowy Program Pisarzy.

[2] *14 Poems*, tłumaczył John Batki, wydanie dwujęzyczne, University of Iowa, Windhover Press, 1972.

A teraz przyszły listy – Joasia donosi o grypie w Warszawie, zdaje się, że to duża epidemia, zapowiadano ją na ten rok. „Wkładajcie astrachany", kupujcie aspirynę, „jak skacze słupek w termometrze", hu-ha!

Tak mi dobrze teraz do Was pisać, nie czuję pióra, papieru, odległości – i kłopoty mnie na chwilę zostawiły w spokoju – lekko mi jest, widzę Was znowu, i też weselsi jesteście niż na początku tego pisania.

I już je kończę, bo szkoda czasu paryskiego na tak długie lektury.

Czyście się czymś zasmucili?

Czyście czymś się zatroskali?

Czy tak, czy nie, wstąpcie do pierwszego z brzega – no, nie pierwszego, tego, gdzie lubicie zachodzić, i przy okazji – i wypijcie kalvadosa albo co lubicie, a ja się z Wami trącam brandy „St. Charles".

Kaziu, czy Ci Andrzej opowiadał, jak piliśmy kiedyś wino razem i strzelali później (ja bez skutku) do piłeczek ping-pongowych, skaczących na strumieniu wody, na St. Germain? Do piłeczek ping-pongowych, niech nam to wybaczy Przewodniczący M., ale nie myśleliśmy przecież nic złego. A nic złego (to rechot Jarosława), same dobre rzeczy. Głosy, głosy. Pełno głosów naokoło – a my w środku. I żegnam Was siedzących przy kontuarze. Jak dobrze!

Ściskam Was mocno, ucałowania –

Artur.

PS. O plotkach warszawskich – i paryskich – już nie piszę, bo czas na to będzie kiedy indziej. Ale: miałem prawo (w związku z różnymi echami, niejasnymi w korespondencji) zaniepokoić się sprawami Jarka i Ewy. Czy wszystko już w porządku? To najważniejsze. A co też zmajstrował Jareczek? No, w końcu mogę sobie wyobrazić. I mniejsza o to, czy to teatralia (jak przypuszczam), czy też zdenerwowanie zwyczajne i natura, no, to już żarcik błahy, było się, było artiflotem – i do potępień (cicho, Kaziu) najmniej się nadaję. Ale moment źle wybrany do tego stopnia, że kopnąłbym Jareczka, jak go kocham, w d... (no bo w co innego). Jednocześnie: czy nie za dużo się w to – to znaczy: czy nie za dużo wynosząc to na światło – mieszamy się w to wszyscy? Z przyjaźni, oczywiście, bo i ilu nas jest, wszystkich razem. Ale okrutne to może – dla Ewy – bo inne daje proporcje sprawom. A przecież – i to jest najważniejsze – Jarek ją uwielbia, czemu się trudno dziwić. Reszta: sen, mowa, ciało – i tak dalej. Napiszcie mi tylko, czy moją ufność w tym względzie podzielacie. Martwiłem się tym trochę.

Jastrun z Twojej, Andrzeju, relacji: jakbym to widział. Za dużo mam jednak wspomnień – i przeszkadza mi to. Zdaje się, że o tym nadmiarze wspomnień napisałem już: w wierszu, w cyklu, który przesłałem „Twórczości" (już pokwitowali, Jerzy i Fedecki, Jerzy bardzo serdecznie, Fedecki też miło, ale i słodząc herbatkę redakcyjną i w zarękawkach czarnych, to jest jednak postać wschodnia, w sposób zadziwiający). Decyzja kolegów: pewno słuszna. Co do Wiktora[3] i Zbyszka[4]: no tak. Powtarzalność tych sytuacji staje się zastanawiająca. Dochodzi jedno: przyśpieszenie. Czy pamiętasz tytuł artykułu Bratnego z roku 68: „żeby dobrze wziąć zakręt, trzeba się dobrze wychylić". Bardzo pięknie – i widzimy to znowu, na załączonym przez Ciebie obrazku. Ale przyśpieszenie to jest czynnik nieobliczalny – i działa w jeden tylko sposób. Przyjdą inni, to jest jak tango – i żadnej nie wymaga myśli. „I przyjdzie inny, bogatszy i lepszy ode mnie – i on skradnie serce mi twe." Przypomniałem sobie nagle śpiewy Twojego nieznanego mi brata, z linijką w ręce. Ośla serenada, bu-hu, na rogu Alej. Zbyszek też to zresztą śpiewa – i ja śpiewałem, kiedy młody byłem i miałem siłę – teraz już nie śpiewam. Mazurkiewicz, bój się Boga. Więc właśnie.

Ciekawe, że znowu byłeś u Wandy[5] na wódeczce. Pamiętasz, jak mówiła „rrr" w słowach „drrramatyczna", „trrragiczna" (bo słowo „sytuacja" nie ma „r", niestety)? Wszystko, co o tym pisałeś, bardzo mnie zajęło. I o tym nowym proteście – także, i o stanowisku Antoniego, który i wycofuje się pewno, bo już pora (tak chyba sobie powiedział), i – kto wie – może nie czuje instynktownie, właściwej aury. Możliwe – ale nie wiem, bo i jak. Dużo rzeczy niepokojących z tego wszystkiego wyczytałem, trochę nadziei – znacznie więcej niepewności. Krakać z góry nie ma co, mówienie o swoim braku wiary – jak mówił Jastrun – oczywiście, jest zrozumiałe. Ale to jest jak z wierszem i poezją. Milczenie bardziej takiemu stanowi odpowiada, myślę. To znaczy: rzecz była w kręgu przyjaciół, uprawniona, może i ujmująca chyba na pewno gorzka. Oczywiście. Tylko że jeden płacze – i pięknie, i ma prawo – a drugi mu łzy ociera. Później jest ciężki moment – i znowu jeden płacze, a drugi jedną ręką strzyla, a drugą mu łzy ocira. I jest nawet umiranie – i znowu ten sam, co płakał, to i znów płacze, a ten, co ocirał, to umira i jeszcze mu te łzy ocira. Do tego, czasem, płaczkowicze nasi zachowują się nie po męsku w sy-

[3] Wiktor Woroszylski.
[4] Zbigniew Herbert.
[5] Wanda Żółkiewska – pisarka, autorka utworów dla dzieci i młodzieży.

tuacjach, kiedy nie o ślozy idzie, tylko o jakąś decyzję, nawet nie dramatyczną (drrramatyczną – Wanda), tylko zwyczajną, gospodarsko-etyczną, czy po prostu w ramach higieny umysłu. Co z tego wynika, to znaczy: z tego, co tu piszę? NIC – na co dzień. Cześć pracy, gestom i łzom. Nie przyjmuję jednak podziału na cierpiących na abulię – i sanitariuszy z chustkami – i z nocnikami. Słaby punkt w tym wszystkim: dlaczego można z Jakubowskim, a nie można z Putramentem? Oczywiście inna jest sytuacja. Ale i gest wskutek tego – też inny. Piszę to przesadzając – i bez gniewu, bo i dlaczego by. Ale jest jakieś skażenie postaw – w pewnej realności, obawiam się, nieuniknione. I nikogo nie można o to winić, oczywiście. No, dosyć tego, za długo, wybaczcie – a i tak wszyscy to samo wiemy.

Ta chwila serdeczna, którą przeżyłeś tamtego wieczora – z Antonim, Jastrunem, Jackiem[6] – ważniejsza w końcu od wszystkiego.

Całuję Was mocno,

Artur.

Kochani krewni, Kochany Andrzeju! Bardzo szybko przyszły Wasze listy i były dla nas naprawdę królewskim prezentem. Odpisujemy z jednodniowym opóźnieniem, bo wczoraj mieliśmy pełny dzień zajęć uniwersyteckich, dziś już prawie weekend, piątek. Wyszłam tylko do biblioteki po książki i po powrocie zastałam Artura wciąż nad listem do Was, wyłączonego tak kompletnie, że nawet nie próbowałam go zaczepiać.

Dobrze Wam w Paryżu, co? Życzyłabym Wam kilku miesięcy takich i jeszcze z możliwością pracy, ale oderwania się od utrapień.

Czesław przysłał nam cytatę z wywiadu z Putramentem („Współczesność"), który znów stawia warunki, na jakich ludzie wycofani z obiegu mogą „wrócić do życia". Niech nie liczą na żadne wyjaśnienia czy przeprosiny. Nie zrozumieli polityki ostatnich lat. I to nie zrozumieli nie tylko w 68 roku, ale i wcześniej. Więc, w domyśle: za to mają płacić. Temu to naprawdę życie masłem opływa.

Nawet mu w głowie nie postanie, że ktoś może z góry postawić się po stronie przegrywającej. Poeta. Metafizyk. Ach, jak mi obrzydło to słownictwo, i ciągle ta sama ohyda, ale siedzę w niej chyba po uszy.

[6] Jacek Bocheński.

Oba Wasze listy niebywale ciekawe. Andrzej – jakby z tego swojego słynnego notatnika pisał. Śmieliśmy się, wspominając jego dawne sprawozdania. Notesik. Rzeczowo. Aż serce rośnie.

Aliści Sycio podobno w niełasce, więc o ile można liczyć na jego obietnice i *understendy**? Zdumiałam się obecnością Lily u Wandy, nie mogę się oprzeć mglistym niechęciom, które nie od dzisiaj odczuwam.

Zbyszka chęć działania rozumiem. Za długo go nie było. I porozumienie z Wiktorem na tym tle też zrozumiałe. Wszyscy to znamy, właśnie z podobnych chwil. Myślę, że spotkanie u Wandy zaspokajało nawet jakąś wspólną potrzebę, ale nic nie mogło z tego wyniknąć. Gdybym nie znała Jastruna, zgodziłabym się z jego „ostatecznym pesymizmem", ale wiem, że wyraża się on u niego w ponurej rezygnacji i zgodzie na najgorsze wraz z nieodmawianiem parszywcom towarzyskich kontaktów. Ale nie ja rzucę ten pierwszy przysłowiowy kamień na ladacznicę. Już żyjąc – grzęźnie się w czymś nieopisanym.

Co do paryskich Waszych spotkań: jakbym je własnymi oczami widziała i własnym gustem oceniała. I Olgę[7] widzieliśmy w tym stanie przed rokiem, i Basię[8] w tej sytuacji od lat.

A Kocik[9] motylek, miły motylek. A Pierre Em.[10] zacny i wie o życiu prawie tyle, co my, tyle, że nic nie musi.

Kiedy dostałam Wasz list pomyślałam: co za szczęście móc wymienić bez przeszkód kilka ludzkich stron pisma. I nie czekać na nie tygodniami, ale w ludzkim terminie, póki zapomni się, co się czuło czytając – odpisać.

Nasze plany do lata – wiadomo Wam. Chciałabym Wam jakoś przybliżyć to nasze tutejsze życie. Jakby to powiedzieć: żyjemy jedną tylko połową, ale ta połowa żyje sobie dosyć dobrze, ciepło jej, nakarmiona jest, sypia w miarę, ból lekki zaledwie, jak po znieczuleniu miejscowym. Umysł działa, choć też jakby pod wyznaczonym pułapem. Powietrze wchodzi tylko w szparę między wyjazdem a przyjazdem za ocean. Dwa zupełnie inne ciała, bez ciągłości, poza tem, że to wciąż chyba my, ci sami. Kochani! Ale dla nas Wy wciąż jednakowi, nie trwożcie się, wszystko jest jak było. Całuję Was gorąco. Wasza Julia.

---

* (ang.) *undestand* – zrozumienie.
[7] Olga Scherer – profesor literatury na Sorbonie.
[8] Barbara Majewska – krytyk, historyk sztuki.
[9] Konstanty Jeleński.
[10] Pierre Emmanuel – poeta, członek Akademii Francuskiej.


Fot. Archiwum Julii Hartwig

Notatka wstępna do fragmentów „Dziennika" Artura Międzyrzeckiego

Kiedy w roku 2001 ukazały się w wydawnictwie Sic! „Zawsze powroty" nie wiedziałam jeszcze o istnieniu dziennika, który podczas naszego pobytu w 1986 we Francji prowadził mój mąż, Artur Międzyrzecki.

Dziennik ten odnalazł się w Muzeum Mickiewicza, któremu powierzyłam dokumenty i rękopisy związane z twórczością i działalnością A.M. Dotyczy on tego samego okresu, co moje zapiski w książce „Zawsze powroty" i gdybym znała ten dziennik wcześniej, zapewne zastanawiałabym się, czy nie powinien ukazać się równocześnie, wzbogaciłby bowiem z pewnością obraz naszego wspólnego pobytu w Paryżu i w Normandii pod koniec lat osiemdziesiątych.

Pierwsza notatka A.M. w jego dzienniku nosi datę 6 grudnia 1985, ostatnia – 18 marca 1986.

Drukowany tu fragment zaczyna się zapisem z 14 maja 1986, kończy 4 czerwca tego samego roku.

(j.h.)

Fragmenty *Dziennika* Artura Międzyrzeckiego

Pobyt we Francji z żoną, Julią Hartwig, maj 1986; *Dziennik* obejmuje okres od 6 grudnia 1985 do 16 marca 1986

14 maja, środa

U Piotra i Hani[1] w Gif-sur Yvette. Na stacji w Gif kupujemy wielki bukiet bzów. Piotr wyjeżdża po nas i po panią Felicję Krance[2], która przybyła tuż po nas, następną kolejką – i wraca z nami (koło jedenastej) do Paryża. Piotr objeżdża z nami park i zabudowania C.N.R.S. Niebieskie pola dzikich hiacyntów. Cedry.

Podczas kolacji Piotr występuje z tezą, że ołów był sprawcą upadku Rzymu, jednym z głównych. Elity jadały w ołowianych, bardzo drogich naczyniach – przestały się, za sprawą ołowiu, rozmnażać... *Si non è vero...*

15 maja, czwartek

O wpół do dziesiątej – w klubie „Kontakt" w Vanves. Zawożą nas tam samochodem. To nowa siedziba. Czytamy wiersze. Wśród zebranych: Olga Scherer[3], Zosia Bobowicz[4], Bogusławscy[5]. Rolę gospodarza pełni Mirek Chojecki[6]. Jest jego mama. Wracamy samochodem, o północy.

16 maja, piątek

Rano wiadomość o śmierci Anny Kamieńskiej[7]. Czy rzeczywiście? Julia słuchała radia, nadawano jej wiersze, powiedziano na zakończenie: „były to utwory niedawno zmarłej Anny Kamieńskiej". Może – przychodzi mi to do głowy – były to utwory niedawno zmarłej Anny Świrszczyńskiej[8]. Nie wiem. Dzwonię. Pytam. Nikt nic nie wie. O pierwszej u Kazików Brandysów[9]. Są

[1] Piotr Słonimski – profesor biochemii, bratanek Antoniego Słonimskiego, i jego żona Hanna.
[2] Felicja Krance z domu Lilpop – historyk sztuki.
[3] Olga Scherer – profesor literatury na Sorbonie.
[4] Zofia Bobowicz – redaktor w wydawnictwie Lafont.
[5] Bogusławski – dziennikarz, uczestnik kampanii na Zachodzie.
[6] Mirosław Chojecki – działacz wydawnictw podziemnych.
[7] Anna Kamieńska – poetka.
[8] Anna Świrszczyńska – poetka.
[9] Kazimierz Brandys – pisarz i jego żona Maria.

Główczewscy[10] i pani Bożena (Steinborg)[11]. Marysia daje mi wycinek z „Nowego Dziennika" (N.Y.) o naszej nagrodzie. Żywo i przyjemnie. Na boku, z K.B. o mniej przyjemnej napaści na Halinę Mik. [Mikołajska] i w ogóle o „kieszonkowych biesach". U nich było znowu starcie Haliny z Olgą, na tle pomocy dla kraju. Kazik mówi o tego rodzaju starciach i poniżeniach z ostatnich lat. Niekiedy bardzo przykrych, nieomal z oskarżeniami o nadużycia. Zgroza. Przypomina mi się telefon, do dr. Edelmanowej[13], jednej z najofiarniejszych osób w świecie medycyny: „urządziliście się tu na ciepłych posadkach za nasze pieniądze". Edelmanowa, spotkana u Kazików 10 kwietnia, mówiła mi: „całą noc później nie spałam". Jest żoną Marka Edelmana. Żyją w separacji, bo postanowiła wyemigrować przed laty, nie wiem kiedy dokładnie. Mieszka z synem (po studiach, miły).

O wpół do siódmej u Zenona[14]. Wybieramy się razem do chińskiej restauracji na Surcouf. Mówi o „Znakach Czasu" i Micewskim[15]. Przejęty. Szkoda mi go. Dostał się między „wielkich szermierzy". Ale ufam, że wyjdzie z tego z honorem. Dzięki swojej pracowitości, cierpliwości, umiejętności przeczekania. Jest w nim tyle samo chłopskiej krzepy jego rodziny (znamy ich hodowlę pod Łomżą, imponująca) ile delikatności. Choruje na nerwicę. Przy ekspansywności jego i jego placówki trudno się dziwić. Rozmawiamy o przyjeździe Ani Kamieńskiej, chciałby ją zaprosić na jesień – i o porannym – miejmy nadzieję – nieporozumieniu.

17 maja, sobota

Pracujemy od rana i cały dzień. Źle mi idzie. Nowiny z Polski złe. Rano dzwonią Marysia B. i Zenon. Ania nie żyje, to prawda. Trzy dni temu był pogrzeb. Nabożeństwo odprawiał Prymas, ks. Niewęgłowski[16] pewno koncelebrował, tak przypuszczam. Wszystko to nie na Nowym Mieście, ale u Dominikanów. Na cmentarzu przemawiał Andrzej Braun[17] i ojciec Babraj, dominikanin, redaktor „W drodze", znany mi z korespondencji. Była ich autorką, zdążyła wydać tam, niedawno wybór wierszy.

[10] Jerzy Główczewski – architekt mieszkający w Nowym Yorku, jego żona Lenta.
[11] Bożena Steinborg – historyk sztuki.
[12] Halina Mikołajska – aktorka.
[13] Alina Margolis-Edelman – lekarz, działaczka organizacji Medecins du Monde.
[14] Zenon Modzelewski – superior Pallotynów w Paryżu.
[15] Andrzej Micewski – działacz i dziennikarz katolicki.
[16] ks. Wiesław Niewęgłowski – duszpasterz środowisk twórczych w Warszawie.
[17] Andrzej Braun – pisarz.

Ta śmierć przygniata nas. Ania była szkolną koleżanką Julii. Widywaliśmy się rzadko, ale stosunki były bliskie. Spotykaliśmy się również w Radzie Duszpasterstwa, regularnie, co parę tygodni. Przed laty częściej, w „Twórczości". Kiedyś, za życia jej męża, spędzaliśmy razem wakacje. W Chmielnie (Szwajcaria Kaszubska), kiedy Danieli[18] nie było jeszcze na świecie, więc przed trzydziestu laty przynajmniej.

Wieczorem, u nas, w Parc de Sceaux, Bożena P. (Puchalska)[19] na kolacji. Przychodzi z licznikiem Geigera. W porządku. Nie jesteśmy radioaktywni. Jedzenie, które przeznaczone na kolację (proszę, żeby zmierzyła, dla żartu...) też nie.

18 maja, niedziela

Rano i wieczór w Parc de Sceaux. Obiad, o drugiej, u Ireny Krzywickiej[20] i Jędrka Krzywickiego[21] w La Hacquinière. Stacja przed Gif-sur-Yvette. Zapraszała jego żona (byliśmy na ich ślubie przed półtora rokiem), Wanda. Wyjeżdża po nas na stację. Jest z nimi jej siostra Barbara, dwudziestoletnia, ładna. Mieszkała przez pół roku w apartamentach hr. d'Ornano, za nocny dozór nad mieszkaniem. Studiuje w Alliance Française, przyjechała na rok.

Siedzimy w ich uroczym ogrodzie, przed wspaniałym krzewem rododendronu. Różowe kwiaty w pełnym rozkwicie. Azalie. Polne hiacynty, niebieskie. Bluszcze na murze. Opowiadają dzieje tego domu, który doprowadzili do obecnego stanu nieomal własnymi rękami, ku niedowierzającemu zdumieniu sąsiadów. Poprzedni właściciel, szaleniec, przeobrażał fasadę w neogotycką kaplicę (ozdoby z tektury...) i trzeba było pozbyć się tego horrendum. Irena w świetnym stanie umysłu. Ale prawie nie widzi. Owszem, spaceruje. Ale nie może pisać. Okropna historia z jej książką o Boyu[22]. Kott[23] (albo ktoś po drodze) zgubił jedyny egzemplarz, po francusku, nie do odtworzenia. Wspominamy Antoniego[24], Jarosława[25], Warszawę sprzed lat.

[18] Daniela – córka Julii Hartwig i Artura Międzyrzeckiego.
[19] Bożena Puchalska – fizyk.
[20] Irena Krzywicka – pisarka.
[21] Andrzej Krzywicki – syn Ireny, profesor fizyki teoretycznej na uniwersytecie paryskim.
[22] Tadeusz Boy-Żeleński.
[23] Jan Kott – pisarz, znawca literatury, krytyk.
[24] Antoni Słonimski.
[25] Jarosław Iwaszkiewicz.

19 maja, poniedziałek.

Cały dzień w Parc de Sceaux, u nas. Źle mi się pisze. Listy do Juszczaka[26] i Danieli, nic nie wiem o szczegółach podróży we wrześniu. Juszczak milczy, nie wiem, co to znaczy. List, krótki, do Gustawa[27], na temat *Dziennika 80–83*. Wiem, że echa książek ważne, zwłaszcza na emigracji. Ale o tym więcej miałbym do powiedzenia niż w tym elożu okolicznościowym. Perły tam są – opisy terremoto, Kortony, Urbino, zimowego Rzymu i Edyktu Konstantyna – i obsesje, również literackie, i obsesyjne niechęci, i – to u Gustawa nowe – potrzeba mówienia o własnych książkach i (nawet) wznowieniach tych książek: gdzie, kiedy itd., trochę to żenujące. I zbędne! Po co to! Myśl przykra: każdemu może przydarzyć się na starość. Może i ja się przechwalam? Może. I co z tego? Nic.

Po obiedzie spacer po parku. Odkrywamy nową jego część, ogromną, otwierającą się u końca alei na lewo, po stronie kanału. Jest tam duże sztuczne jezioro, są tarasy schodzące ku jezioru, są ogromne aleje podchodzące ku pawilonowi – i wielkie trawniki. Wspaniałe platany nad jeziorem. Na gazonach przed pałacem tulipany przekwitły. Są klomby bratków. Niebieskich.

Z lektur *Nieznośna lekkość bytu* Kundery. To nie jest pisarz wielki. Ale ciekawy i autentyczny. Każdemu by życzyć. Fragmenty marne, w stylu Kischa i podrzędnej erotyki, jest i to. Ale pisze, pisze – i jest. Potęga. Brawo.

20 maja, wtorek

Rano: dziennik i proza. Po obiedzie – z zimowymi rzeczami – do Kaz. Brandysów. „My z legii, my tułacze...". Zgroza, ale malutka. Te rzeczy i przeprowadzki. Julia znosi je wspaniale.

Wczoraj w telewizji: nagrody w Cannes. Nieobecny Tarkowski – najbardziej obecny. Jest jego syn, śliczny chłopiec. Czyta krótkie podziękowanie od ciężko chorego ojca (nowotwór...).

Telefon od Danuty (Szumskiej)[28]. List z Warszawy, express. Może zdążymy odebrać, przed piątą? Wątpię. Mamy być o szóstej u Zbyszka i Kasi[29] Herbertów.

Szósta. Mieszkają w Passage Hébrard, w dziesiątym Paryżu, obok Faubourg du Blvd. de Temple i rue St. Maure. Wysiada się na stacji Belleville – tę

[26] Wiesław Juszczak – dyrektor Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Yorku.
[27] Gustaw Herling-Grudziński.
[28] Danuta Szumska – sekretarz wydawnictwa Edition du Dialogue.
[29] Zbigniew Herbert i jego żona Katarzyna.

wybraliśmy – albo Goncourt. Dzielnica murzyńsko-arabska. Malownicza i orientalna, przypomina także warszawską dzielnicę północną, tę sprzed wojny. Budynek nowy – i ten naprzeciw także. Drugie piętro, skarżą się na hałas. Wozy dostawcze jadą tamtędy na rue St. Maur i okoliczne bazary, trwa to do piątej. Zbyszek polegiwał, ale wstał na wizytę. Nie pije, mizerny, ale rozmowa żywa. O Polsce i Francji. O życiu. Również naszym, nie wiadomo jakim. Czy wygnańczym już? Kasia skłonna do przedłużenia pobytu. Lamentuje, ale właściwie zaradna, i tym lepiej. (...)

Wracamy przed dwunastą. Ulice ożywione, chwilami niepokojące, może zresztą przesadzam.

21 maja, środa

Pracujemy w Parc de Sceaux, Julia rano idzie po zakupy do Bourg-la-Reine. Ciepły dzień.

Wieczorem, u nas, Janek Lebenstein[30], Hanka Patkowska[31] i Teresa Dzieduszycka[32]. Opowiada o efektach radioaktywności w Polsce, miała nowiny od sióstr.

22 maja, czwartek

Po dniu pracy – jeszcze jedna odwzajemniona wizyta. O siódmej u nas, Aleksander Smolar[33] z żoną, Olga i Marysia Brandysowa. Kazik nie przyszedł, poleguje. Żywa rozmowa o wszystkim – i o spięciach kraj-emigracja. Ciekawe – i nieuniknione. Dzwoni Guy de Boschère[34], przekazuje prośbę Haulota[35], żeby powiedzieć parę słów o Zbyszku podczas jutrzejszej kolacji w „La Closerie des Lilas". Oczywiście powiem. Byłem jurorem nagrody, którą dostaje – i wysunąłem jego kandydaturę trzykrotnie i aż do skutku.

23 maja, piątek

Pracujemy do późnego popołudnia. Przygotowuję też tekst przemówienia w „La Closerie". Dzwoni Hanka Patkowska, moglibyśmy mieszkać od 4 czerwca w paryskim mieszkaniu jej przyjaciółki – i aż do końca mie-

[30] Jan Lebenstein.
[31] Hanna Patkowska – tłumaczka.
[32] Teresa Dzieduszycka – tłumaczka literatury polskiej na francuski.
[33] Aleksander Smolar – profesor na uniwersytecie paryskim, późniejszy dyrektor Fundacji im. Stefana Batorego.
[34] Guy de Boschère – poeta francuski.
[35] Arthur Haulot – poeta belgijski, organizator Biennale Poezji w Knokke Le Zoute i Liège.

siąca. Byłoby to rozwiązanie lepsze niż Deauville, gdzie mamy spędzić czerwiec.

Wieczorem w „La Closerie des Lilas”. Julia przeziębiona, zostaje w domu. Jadę na wpół do dziewiątej. Padamy sobie w ramiona z Arturem Haulot, zjawiliśmy się przed „La Closerie...” w tej samej chwili. Przy stole honorowym Haulot, Guy i ja i oczywiście Zbyszek i Kasia Herbertowie. Prezyduje przy stole duchesse de La Rochefoucauld[36], nasza stara znajoma, matka Solange Fasquelle[37]. Podobno zupełnie głucha – ale to pewno nieprawda, bo i tym razem zupełnie żwawo rozmawia. Pamięta wydarzenia i ludzi. Domaga się od Guya karty menu, dostaje ją. Mówi: kiedyś pchano się do *table d'honneur*, teraz nikt się nie pcha. Istotnie, są dwa miejsca wolne, zajęte zostaną w ostatniej chwili przez Yannisa Coutsocherasa, ambasadora Grecji przy UNESCO, i jego żonę, Lenę Stefi-Coutsochera, skrzypaczkę. Ofiarowuje mi swoje poematy *Hiroszima-Zero Hour* i *Symphonie of the World Citizen*, oratoria z muzyką Angellis Pitiladisa Cautsovanquelis. Pani La Rochefoucauld opowiada o Valéry'm i jego rodzinie. Przypominaliśmy sobie kongres w Lyonie, gdzie o mało co nie spóźniła się na seminarium o Valéry'm. Wygłaszać miała referat i denerwowała się opóźnionym lotem z Paryża, pamiętam to dobrze, przewodniczyłem temu seminarium, na uroczystym zjeździe PEN Clubu, w 60. rocznicę francuskiego centrum. Był wrzesień 1981.

W „La Closerie” jest Gaston Miron[38] z żoną – i z Ritą Gombrowicz, swoją uniwersytecką koleżanką. Rita Gombrowicz sprawia jak najlepsze wrażenie, miła, dowcipna, ładna. Młodsza niż myślałem. Jest z nieznaną mi dotąd młodą reżyserką, Wandą Lewinson. Mieszkająca w Paryżu Polka. Matkę ma w Krakowie. Była na *Szkole żon* w moim przekładzie, przed kilku laty, w teatrze Narodowym. Pean na cześć przekładu. Przeniesiony na stół Mirona i Rity, bo Rita mówi o tym na pożegnanie.

– Miron skrzyknie nas na pewno. To, że jest Pan, jak słyszałam, genialnym tłumaczem, jeszcze bardziej go zachęciło...

Dowcipna. I w miły sposób, ale jednak dystansuje się od Mirona.

Uroczystość: Guy oddał mi głos, wygłosiłem, co miałem wygłosić. Później Haulot wręczał kopertę Zbyszkowi – pewno dwa tysiące franków, jeśli się

[36] Księżna de La Rochefoucauld – pisarka.
[37] Solange Fasquelle – pisarka, członek PEN Clubu francuskiego.
[38] Gaston Miron – poeta z Quebecu.

nie mylę – i przeczytał jego wiersz w przekładzie Kota Jeleńskiego[39] (z *Pana Cogito*, zamieszczonego w ostatnim „Journal des Poètes"). Zbyszek odpowiadał nijako, chociaż krótko. Tylko my dwaj byliśmy w białych koszulach. Wyszliśmy razem. Dwa kroki do stacji R.E.R. „Port Royal" i po dwudziestu minutach w Parc de Sceaux.

23 maja, piątek *Postscriptum*

Haulot zaprasza na 15 Biennale w Liège. Temat: „Poezja i teatr". Prosi o referat – zastanowię się. Nie wiem jeszcze, czy będę, z uwagi na Bronkę Ricquier[40], pragniemy ją odwiedzić.

24 maja, sobota

Przedpołudnie w Parc de Sceaux. O trzeciej – na drugiej części *La Mahabharaty* w Bouffes-du Nord. – Część druga: *L'Exil dans la fôret*. Reżyseria Peter Brook. I część 9-godzinnego przedstawienia. Nieoczekiwana propozycja pani Smolarowej: idzie z synkiem na pierwszą część. Na trzecią pójdzie jej mąż. Na dole czekają na nas Renata Gorczyńska[41] i Andrzej Seweryn (gra Duryodhenę) i prowadzą na miejsce. Secesyjna, niezapomniana sala teatralna. I niezapomniany spektakl.

Wieczorem u Bożeny Puchalskiej w Palaiseau-Villebon. Jej mąż przyjechał w tym tygodniu z Warszawy. Mówi o radioaktywności: zna się na tym, jest fizykiem. Nie, nie ma zagrożeń dla zdrowia.

Są z nami Agnieszka Holland i Barbara Toruńczyk[42]. Wracamy razem R.E.R.em, to nasza linia.

Podczas kolacji Agnieszka Holland opowiada o swoim pobycie w Stanach z jej filmem, który otrzymał tzw. nominację – do stawania o nagrodę Akademii (Oscar). Opowiada z werwą, dowcipnie. Wygląda na to, że odniosła niemały sukces osobisty. Nominacja ułatwiła jej wiele kontaktów. Jej filmu nie znam, reżyserowała go w Niemczech i sama nie uważa go za arcydzieło. Barbara Toruńczyk jedzie w lipcu do Stanów, do tak dobrze mi znanego Cambridge. Na rok.

---

[39] Konstanty Jeleński – znawca sztuki, postać odgrywająca znaczną rolę w życiu międzynarodowym, publicysta związany z „Kulturą" i środowiskiem pisarzy polskich, mieszkał w Paryżu.
[40] Bronka Ricquier – zaprzyjaźniona z polskim środowiskiem filmowym.
[41] Renata Gorczyńska – pisarka, współtłumaczka wierszy Czesława Miłosza na angielski.
[42] Barbara Toruńczyk – redaktor naczelny „Zeszytów Literackich".

25 maja, niedziela

Pracujemy do południa. O piątej – u Danuty Szumskiej, która ma urodziny. Są z nami: Teresa Dzieduszycka, Zenon i Jakub Karpiński[43], który układa listę dzieł polskich do tłumaczenia, nie pamiętam już dla kogo. Mówimy raczej o dziełach dawnych niż współczesnych. Pożądany byłby sensowny wybór Brzozowskiego. Może Tomasz Burek[44] by się tym zajął. A Jakub Karpiński Mochnackim? Teresa zgłosiła się jako tłumaczka *Lalki*. I Wojtka Karp.[45]. Ale nie przestaje upominać się o Sienkiewicza: takie jest serce?

Kolacja u Devaud[46]: Emmanuel i bliźnięta (Nicolas i Miette) obchodzą urodziny. Tutaj odprężenie zupełne i rodzinne. Lubimy się wszyscy. Oprócz solenizantów jest jeszcze matka Emmanuela, żona Nicolasa (z ich niemowlęciem w koszyku) i Grégoire, najmłodszy syn. Odwozi nas samochodem do Parc de Sceaux, to po drodze do miejscowości, w której mieszka.

26 maja, poniedziałek

Cały dzień pracujemy w domu. O wpół do szóstej spotkanie z Ewą Fiszer[47] w Cafe St. Claude na St. Germain. Wymizerowana. Była u lekarza: kontrolna wizyta po operacji tarczycy. Przyjechała z Warszawy na dziesięć dni – i w tym tylko celu. Opowiada o śmierci Andrzeja Nowickiego[48] – i Ani Kamieńskiej.

Wieczorem z Kazikiem Brandysem i Marysią u Gabriela i Grażyny Meretików[49]. Rozmowa o Polsce i o Francji.

Wyjedziemy do Deauville wcześniej, z uwagi na strajk kolejowy 30 maja.

Z mieszkania paryskiego, proponowanego przez Hankę Patk. nic nie wyszło, już ktoś tam ma być – i Julia uspokaja rozżaloną Hankę.

Rano odwozi nas Bożena samochodem na Surcouf. Zostawiamy tam niepotrzebne rzeczy, dołączamy je do dawnych, które przechowujemy w przedpokoju wydawnictwa na ostatnim piętrze.

O wpół do pierwszej w PEN Clubie na François-Miron. Umówieni z René Tavernierem[50]. Rozmowa o sprawach PEN, u nas, we Francji, na świecie.

[43] Jakub Karpiński – historyk i politolog.
[44] Tomasz Burek – historyk literatury, krytyk.
[45] Wojciech Karpiński – pisarz, historyk sztuki, eseista.
[46] Emmanuel Devaud – przyjaciel, dyrektor Chambre du Comerce.
[47] Ewa Fiszer – tłumaczka, poetka.
[48] Andrzej Nowicki – pisarz, poeta satyryczny.
[49] Gabriel Meretik – pracownik radia francuskiego.
[50] René Tavernier – prezes PEN Clubu francuskiego, a następnie prezes PEN Clubu światowego.

Konferencja w Budapeszcie pewno się nie odbędzie. René oburza się na niepoczytalną depeszę amerykańskiego PEN do rządu węgierskiego, bez uprzedniej konsultacji z Węgrami i centralą PEN Clubu w Londynie. Nic o tym nie wiem. Omawiamy też perspektywy kongresu w Hamburgu – na nic ciekawego nie zapowiada się ten zjazd.

Śniadanie w sąsiedztwie, na bulwarze nad Sekwaną, obok księgarni „Compagnons de France". René pokazuje nam w drodze siedzibę „Compagnons" (w narożnym domu) i ich kawiarnię na bulwarze. Zobaczymy się 5-go i 6-go.

28 maja, środa

Pakujemy się. Ostatni dzień w Parc de Sceaux. To były szczęśliwe dwa miesiące. Wieczorem, o 20.30, wieczór Zbyszka Herberta w kościele St. Pierre du-Gros-Caillou na St. Dominique, u Pallotynów. Zagaja Zenon. Obecnych koło dwustu słuchaczy. Znajomi, przyjaciele. Czapski, Zosia[51], Gustaw (rozmawiamy przed rozpoczęciem wieczoru, zobaczymy się po 5-tym), Kot Jeleński, Mrożek, Zagajewscy[52]. Marysia[53] przyszła z ich berlińskim przyjacielem, Wiktorem Szackim, Kazik w domu, źle się czuje, zresztą, byłby tu w dziwnej sytuacji po wywiadzie, jakiego Zbyszek udzielił Trznadlowi[54]. Są jeszcze: Teresa Dzieduszycka (siedzi z Kasią), Agnieszka Holland, Wojtek Karpiński. Wielki komplet.

Wybór, jaki zrobił Herbert, nie najlepszy. Niektóre wiersze tracą w czytaniu. Ale i tak przyjęcie miał wspaniałe. Zenon niepotrzebnie zwrócił się do publiczności, pod koniec, o stawianie pytań. Były marne. I odpowiedzi, niestety, też. Sam wieczór poetycki nagrywano na video i w związku z tym paliły się reflektory, jak przed miesiącem na występie Haliny Mikołajskiej. Skarżyła się na te reflektory Teresa Dzieduszycka siedząca z Kasią za nami. Jakoś tak przesadnie. A osoba wielkiej delikatności.

Dla Zenona po kłopotach związanych ze „Znakami Czasu" i piruetami, przyciężkimi, Micewskiego – wieczór Zbyszka i rodzaj widowni, jaki zgromadził, to wielki sukces. Osobisty – i Pallotinum.

[51] Zofia Hertz – redaktor paryskiej „Kultury".
[52] Adam i Maja Zagajewscy.
[53] Maria Brandysowa.
[54] Jacek Trznadel – pracownik Instytutu Badań Literackich, krytyk.

29 maja, czwartek.

Około jedenastej z dworca St. Lazare do Deauville. Odwozi nas na dworzec St. Lazare Joasia Pomianówna[55]. Ma kłopoty domowe, wiemy o tym od jej rodziców i od niej samej, chociaż to tajemnica. Ale rozchodzą się z Markiem Tourquet, nic nie wyszło z tego małżeństwa. Życzymy jej na pożegnanie powodzenia. Myślę, że dzielna jest i poradzi sobie na pewno. Dwadzieścia siedem lat!

Bagaże ciężkie, za ciężkie, chociaż obiecywaliśmy sobie, że zostawimy wszystko, co zbędne. Pół biedy w Paryżu, ale w Lisieux jest przesiadka.

W Deauville – taksówka i wózeczek, więc, jak w Paryżu, nie ma problemów. Jesteśmy na ulicy Hugo 62 około trzeciej po południu. Zmęczeni. I nie działa woda w wannie. Zgłaszamy do agencji. Pierwszy spacer. I sen.

30 maja, piątek

Odpoczynek. Rozkładamy teksty. Chłodno. Nad morzem silny wiatr.

31 maja, sobota.

Sennie i chłodno. Odwiedza nas p. Michel Schwartz, przyjaciel Hani Zaleskiej i jej męża. Mają letnie mieszkanie w Deauville, często przyjeżdżają tu jesienią i wiosną na soboty i niedziele. Pani Schwartz jeździła z Hanią, w zeszłym roku, do Nowego Jorku. On wręcza nam teraz nakrycia na łóżka przekazane mu przez Hanię. Rozmowny. Należy tu do klubu golfowego. Z zawodu – specjalista od telefonów. Ubrany klasycznie, w krawacie.

1 czerwca, niedziela

Jula wczoraj rano poszła do agencji w Trouville, w sprawie łazienki, do hydraulików. Przyjdą w poniedziałek. Długo czekać, ale co robić. Pobiegła też po zakupy do pobliskich sklepów i zapisać się do czytelni. Ja w domu, trochę pracuję, uzupełniam dziennik, przepisuję wiersze. Julia przyszła wczoraj z *Le Temple immobile** Claude Mauriaca. Odpoczywa dziś. Śpi po obiedzie. Później idziemy na spacer nadmorski. Skończył się deszcz. Temperatura powietrza 17 stopni, wody – 14 stopni. Wiatr zachodni. Przelatuje dwukrotnie eskadra. Osiem samolotów bojowych w gwiaździstym szyku. W pewnej chwili rozlatują się na wszystkie strony – po kolorowych sygna-

* (fr.) – *Nieruchoma Świątynia*.

[55] Córka Grażyny i Krzysztofa Pomianów.

łach dymnych – i łączą się daleko, w dwie grupy liczące po cztery aparaty. Wracamy po dwóch godzinach, koło szóstej. Dni bardzo długie. Ślęczymy nad tekstami do północy. Z gazet: PRL przyjęta do Międzynarodowego Funduszu Monetarnego. Perspektywy poprawy ekonomicznej, w najbliższych latach, wręcz fatalne. MFM nie jest zespołem cudotwórców. Ale to jest jednak konsultacja i – w pewnej mierze – pomoc.

2 czerwca, poniedziałek

Deszczowo. Od rana przy stole. Przepisałem wiersze *Włócznia trawy* i *Świadcząc* – i nowe fragmenty *Doktora Sofy*. W ogóle zaprowadziłem trochę porządku w papierach. Są tam cztery nowe opowiadania, krótkie: *Alter*, *Pokolenie, Klaus, Spotkania*. Przyjechali lokatorzy z dziećmi na górne piętro. Hałasują. Trzaskają drzwiami. I szczęśliwie jadą dokądś samochodem. Wieczorem radio: aresztowany Zbigniew Bujak. Podobno w sobotę. Pierwsza wiadomość we wszystkich dziennikach, angielskich i francuskich. Zbiega się z przyjęciem PRL do MFM. Fatalnie śpię. Julia też.

3 czerwca, wtorek

Rano piszę. Posuwa się jednak. Po obiedzie przygotowuję tekst o Antonim Słonimskim, do kościoła pallotyńskiego na rue Cler, w najbliższą niedzielę, 8 VI. Już dziesiąta rocznica śmierci. Listy do Stryjkowskiego i do J.M. Rymk. Wczoraj wieczorem przygotowałem notę dla Z.R. o moich przekładach (zamierzonych) z poezji francuskiej. Obiecałem mu, że prześlę. Radio: aresztowani Konrad Bieliński i Ewa Kulik. Były demonstracje w Warszawie, Krakowie, w Gdańsku i we Wrocławiu. Podobno na konferencji partyjnej w Warszawie oklaskiwano resort gen. Demkowskiego, kiedy oznajmił im o aresztowaniu Zbigniewa Bujaka. *Ecce homo*?

3 czerwca, wtorek (c.d.)

Numer „Le Monde". Wstępny artykuł: *Fin d'une légende en Pologne*. Czołowy tytuł na 1 stronie, *L'arréstation du clandestin nr 1*, i niżej, większą czcionką *Le général Jaruzelski: la lutte continuera*. Na stronie 3-ej wszystkie teksty poświęcone Polsce: *L'arréstation de Zbigniew Bujak, principal dirigeant clandestin de Solidarité, La chute inécluctable d'un hèros populaire* (autor: Jan Krauze) i – w ramce – *Tout le contraire de boutefeu* (portret Bujaka, podpisał J.K., też Krauze chyba). Na tej samej stronie entuzjastyczne omówienie historii Polski pióra Normana Daviesa (*Histoire de la Pologne,* ed. Fayard, 545

str., 1986) tłumaczonej z angielskiego. Sądząc z ostatnich zdań nie obyło się bez potknięć w tłumaczeniu.

Znów bezsenność. Julia też źle śpi. Zmiana pogody. W radio: Bujak i sytuacja. Marna. Oskarżony jest o próbę obalenia rządu (do 10 lat? Tak słyszę, nie wiem).

4 czerwca, środa.

Program dnia, jak wczoraj. Rano nad papierami. Po obiedzie kończę tekst o Antonim. List do Krzysiów[56]. W poniedziałek nadali do nas depeszę: mamy Cité des Arts od 2 lipca, nadszedł list tej treści, prosili o potwierdzenie i wpłatę 1300 franków jako *chèque réservation**. Odtelegrafowaliśmy jeszcze w poniedziałek i przekazaliśmy kwotę pocztą. W środę powinni to już mieć.

Jutro rano do Paryża. W „Le Monde" sporo o Polsce. Protesty związków zawodowych. Wiktor Kulerski w miejsce Zbigniewa Bujaka? Na to wygląda. Miał konferencję prasową, przedstawił sytuację.

* (fr.) – czek rezerwowy.
[56] Krzysztof i Grażyna Pomianowie.

Artur Międzyrzecki

ANTARES

Ryszardowi Przybylskiemu

Niestety ledwo zapiał zarżnęli koguta
Słowik śpiewał i gdzież jest ten słowik mój kotku?
Dlaczego stał się mamut szczątkiem mamuta?
Gdzie ten paw co za młodu puszył ci się w środku?

Nie pytaj i gdzież ten niewiadomo który
Ptaszy śmieszek wymowny co pytania stawia?
O sztuko gdakająca kokoszko natury
Paw ginie razem z głosem co pyta o pawia

Eheu na okręgu nieba Antares się żarzy
Kasjopea się wznosi Arkturus się chowa
I na szpilce drżącej gwiazdy marynarzy
Obraca konstelacje ślepa noc sierpniowa

1981.



Fot. Archiwum Julii Hartwig

Słowo wstępne do listów Artura Międzyrzeckiego do żony, Julii Hartwig, z Paryża, październik, listopad 1969

Po protestach, które towarzyszyły zdjęciu ze sceny Teatru Narodowego „Dziadów" Adama Mickiewicza rozpętała się w Polsce w marcu 1968 roku nagonka antyinteligencka i antysemicka. Dotknęła ona również pisarzy, którzy wzięli czynny udział w słynnym lutowym zebraniu protestacyjnym ówczesnego Związku Literatów Polskich. Znaleźli się oni na czarnych listach zabraniających wydawania ich książek, a książki opublikowane wcześniej usuwano z bibliotek publicznych. Na liście tej znalazł się również Artur Międzyrzecki, dotychczasowy vice-prezes ZLP, który po wydarzeniach marcowych z tej funkcji zrezygnował. Pozbawiony możliwości publikacji i środków utrzymania znalazł się nagle na marginesie życia społecznego, którego był zawsze czynnym i oddanym uczestnikiem i organizatorem. Zaprzyjaźniony z nim węgierski poeta, Gyula Ilyés, zaproponował mu wówczas przyjazd do Węgier, a poeta francuski, Pierre Emmanuel zwrócił się do fundacji Schumana o stypendium umożliwiające Międzyrzeckiemu okresowy pobyt we Francji. Wyjazd przypadł na październik 1969 roku i zbiegł się z pobytem w szpitalu i operacją Pierre Emmanuela, o czym A.M. pisze w listach do żony, Julii Hartwig. Ówczesny pobyt w Paryżu, który miał mieć dla A.M. znaczenie terapeutyczne, nie odmienił – co widać z tej korespondencji – poczucia beznadziejności sytuacji ludzkiej i pisarskiej, w jakiej się on wówczas znalazł.

Dalszą konsekwencją był wyjazd z rodziną do Stanów Zjednoczonych i trzyletni tam pobyt, najpierw na Międzynarodowym Programie Pisarskim w Iowa, a następnie na uniwersytetach w Des Moines i w Stony Brook (New York University), gdzie A.M. wykładał europejską poezję współczesną.

(j.h.)

Listy Artura Międzyrzeckiego do Julii Hartwig, z Paryża z 1969 roku

Poniedziałek, 27 X

Kochanie, jestem na Pierre Charron, od soboty (66, rue Pierre Charron, Pen Club, Paris VII ème, tel. Ely.59–03), jest mi tu jednak wygodniej niż w hotelu. W sobotę nadeszły Twoje dwie kartki (z 19 i 20), bardzo się ucieszyłem, trochę mi doskwierał brak nowin z domu. Listy na stary adres oczywiście będę odbierał, dzwonię tam co dzień. Czuję się nieźle, chociaż czasem smutki, żale, itd. itp. Pierre[1] był w środę operowany, przeszło to dobrze, ale jednak usunięto mu nerkę. I jednak, co tu mówić, okropne. Wybiorę się zapewne na wystawę Apollinaire'a, połączę to z pójściem do biblioteki, przeczytałem wstęp Nervala do *Fausta*. Dowiem się też o Twojego *Apollinaire'a*, to znaczy o przekład, może już zrobiony?

Martine[2] otrzymała Twój liścik, wrócili już do Paryża, ona wyjeżdża z dziećmi na tydzień do Normandii (mają tu tygodniową przerwę w zajęciach szkolnych), on pojedzie po nią w sobotę i zostanie dzień – dwa: zapraszają mnie z tej okazji i pewno się z nimi wybiorę. Zwłaszcza, że pogody cudowne – na ogół – dziś słońce, ciepło. Myślę, że cieplejszy płaszcz nie będzie mi potrzebny, nie zapowiada się na mrozy, a za trzy tygodnie powinienem być w domu. *À propos*: Jak się pracuje przy moim stole? A pani Anielcia[3]: czy zastanę ją u nas w listopadzie czy wraca na wieś?

Gdybyś chciała zadzwonić któregoś dnia, to napisz wcześniej. Ale to trochę skomplikowane, prawda? Bo musiałabyś być pewna, ze dostałem już list i oczekuję telefonu, a listy chodzą kapryśnie. W każdym bądź razie wiedz, że jeśli zadzwonisz rano (do 9-ej) na pewno mnie zastaniesz, z wyjątkiem przyszłej niedzieli i ew. poniedziałku (gdybym pojechał do Normandii, ale nie wiem, czy się to w końcu nie rozwieje).

---

[1] Pierre Emmanuel – poeta, członek Akademii Francuskiej.
[2] Martine Devaud – przyjaciółka z Paryża.
[3] Pani Anielcia – pomoc domowa.

Mieszkam obok pokoju, który kiedyś zajmowaliśmy razem, wydaje mi się czasem, że wiek minął od tamtej jesieni. Byłem na Twoją cześć w Prisunicu naprzeciw, kupiłem jakieś drobiazgi gospodarskie, obejrzałem przy okazji swetry w dziale młodzieżowym, czyli Danielowym[4]. Ściskam mocno, Ucałowania.

A

Ucałuj Danielę. Czy otrzymała widokówkę?

29 X 1969

Kochanie, przyszedł Twój list z 23 X, odebrałem go w hotelu. Bardzo się nim ucieszyłem. Pisz często, choćby słówko. Znów zmieniam adres, bo Pierre (ciągle w szpitalu, ma się lepiej, operacja udana – i już trochę chodzi) przenosi mnie do siebie, do domu. Do 14-go będę więc tam, adresuj: c/o Monsieur Pierre Emmanuel de l'Acadèmie Française (albo bez tytułu) 61, rue de Varenne, Paris VII ème, telefon (na wszelki wypadek, bo trudno dzwonić) INV91–6, przenoszę się jutro. Myślę, że możesz składać papiery na swój miesiąc w Paryżu, nawet gdybyś miała wyjechać dopiero w styczniu, nic to nie szkodzi złożyć, zresztą, może zechcesz wyjechać wcześniej. Trochę tu odpoczywam, trochę łażę, widziałem wystawę Giacomettiego w Oranżerii. Czuję się jako-tako, pewno lepiej niż w pierwszych dniach, ale te smutki, kochana Pani, człowieka nie opuszczają. Ucałowania,

A

Pogłaszcz Daniela

ps.: Strasznie tu drogo; przenosiny z hotelu bardzo mnie właściwie urządzają.

c/o Monsieur Pierre Emmanuel
61, rue de Varenne, Paris VII ème — Paryż, 2 XI 69

Kochanie, przyszła Twoja kartka (w piątek, po dwóch kartkach i liście) i już Ci na nią odpisywałem. Wczoraj (Wszystkich Świętych) i dzisiaj (niedziela) listonosze świętują, więc może co będzie jutro. Dni wloką się czasem, a czasem pędzą, jestem już piętnaście dni – to niepojęte, nie wiem, kiedy to minęło.

[4] Daniela – córka Julii Hartwig i Artura Międzyrzeckiego.

Spaceruję, chodzę na wystawy, rozmawiam o poezji współczesnej i dawnej, piszę listy i kartki – i zaraz wieczór. Brak mi Ciebie bardzo.

Dobrze, że złożyłaś papiery: mówiłem z Anią P.[5] gotowa Cię gościć u siebie w styczniu – lutym, są także w odwodzie Devaud[6]. Dostali Twoje liściki, dziękują. Pokazał mi swoje biura w Chambre de Commerce: to pałac Potockich przerobiony za Drugiego Cesarstwa w monumentalnym kroju (wnętrze jak z obrazu z epoki, oczywiście, akademickiego), robiący duże wrażenie. Nie zdziwiłbym się np. gdyby na schodach ukazał się sułtan ze świtą. Chyba nie będzie możliwości, żeby pobyć tu parę dni razem, prawda? A może? Cieszyłbym się bardzo i zaczekałbym parę dni (gdybyś mogła być w końcu listopada np.). Jeśli nie wyjdzie, trudno, przyjedziesz sama, po moim powrocie. Ale spróbuj.

Odnalazłem Twego tłumacza[7] *Apollinaire'a* (adres) i dzwoniłem do pani Boyer z „Mercure de France". Napiszę do niego. Mam tam wpaść za kilka dni, zrobię to.

Co jeszcze? Byłem u Pierre'a w szpitalu, już trochę chodzi, sprowadził mnie nawet po schodach z dumną miną. Ale jest bardzo słaby. W poniedziałek (jutro) wraca do domu, bez jednej nerki. Może mu napiszesz parę słów, to go ucieszy. Jak się miewacie? Jak Daniel szkolny? Myślę o Was czule i ciągle żałuję, że nie możemy Danieli pokazywać tych rzeczy, którymi nie umiem się jakoś cieszyć. Np. Łuku Triumfalnego albo Oranżerii albo Dzielnicy Łacińskiej. Zaraz tam będę, żeby wrzucić ten list na poczcie, na St. Germain albo gdzie indziej.

Ucałowania, ściskam mocno,

A.

Pozdrów koleżanki i kolegów.

3–4 XI 1969

Kochanie, wysłałem Ci dzisiaj kartkę, zaraz po otrzymaniu Twoich dwóch listów, bardzo bym się cieszył, gdybyśmy mogli pobyć tu razem, chociaż parę dni: i tak drogo, i tak drogo, żadna właściwie różnica, a wszystko się zmienia. Czy złożyłaś już podanie? Nie nadaję się już chyba do samotnych

[5] Anna Pozner – tłumaczka, m.in. Leszka Kołakowskiego, mieszkająca w Paryżu.
[6] Martine Devaud i jej mąż Emmanuel – dyrektor Chambre de Commerce.
[7] Erik Veaux.

podróży, piszesz, że będzie z tego poetycka mąka, ale nie wiem, to już pewnie wiek innego wzroku, spod zamkniętych powiek, i wcale nie jest to *une belle phrase*, tylko stan rzeczy. Anim mądrzejszy od tej jazdy, ani inny, pewno odpocząłem trochę, zresztą czy ja wiem? U Pierre'a jest mi lepiej niż w hotelu, toczy się jakieś życie, prawie nikogo tu zresztą nie ma przez cały dzień, prócz służby, ale na piętrze, gdzie mieszkam, słyszę czasem płyty, które puszcza sobie cicho Nathalie, córka Pierre'a, klasa V liceum, to tyle, co nasza klasa ósma (płyty pewno w sam raz takie jakie lubi Daniela, *à propos*: jaką mam kupić płytę albumową? napiszcie dokładnie, bo nie mam pojęcia). A dzisiaj Pierre wrócił ze szpitala, byłem u niego koło szóstej (parę minut), później, gdy wyszedłem, dopadła mnie starsza córka, Catherine, sam urok, śliczna i udana (nie wychodziła niemal z pokoju ojca w szpitalu), wykrzyknęła: *Ça marche trés bien! J'ai vu la cicatrice!** I poleciała do Pierre'a. Właściwie nie sposób jeszcze rozmawiać, żarciki tylko i okolicznościowe pokrzepienia, zresztą z obydwu stron. Oddał mi do dyspozycji bibliotekę i od jutra zacznę z tego korzystać. W środę idę na wystawę Apollinaire'a i pewno po obiedzie wpadnę do Twego wydawnictwa, chociaż nic nie mogą jeszcze mieć od tłumacza (a może już odpisał? Czy mówiłem Ci, że urzęduje w Macon? Tam, skąd to wino...). Poza tym: piszę listy (wiesz, bo już dostajesz), martwię się, że Ci narobiłem kłopotu z korektą[8]: jednak 323 strony (nie zmieniaj zwłaszcza interpunkcji, w naszym egzemplarzu autorskim wszystko jest tak jak być powinno), gdybyś miała wątpliwości, nie rób sobie z tego wiele, tylko zapisuj wszystko na kartce, bo będę przecież miał wgląd w drugą korektę. Aura: właściwie ciepło tutaj, przed obiadem można chodzić bez płaszcza, deszczyki rzadkie, nie było od paru dni. Po 14-tym wracam do Pen Clubu, bo zjeżdżają tutaj inni goście, rodzinni i od dawna zapowiadani – i znowu zacznie bić taksometr hotelowy, zresztą stosunkowo niedrogi (13 i pół franka ze śniadaniem, właściwie obowiązkowym), ale zawsze to wychodzi więcej (telefony, służba), znasz to zresztą. Co Antosio[9]? Herbatkę pewno pije, sucharkiem pojada. Czytam te Twoje listy jak wieści z prawdziwego świata, dobrze, że masz już te bilety, i widzę, że ruch towarzyski nie słabnie, więc uściskaj ode mnie bywalców. Imieniny Babci beze mnie? Pierwszy się to raz zdarza. No, ale trudno.

---

* (fr.) – Wszystko dobrze! Widziałam bliznę!

[8] Korekta, o której mowa dotyczy książki Artura Międzyrzeckiego *Złota papuga* (Czytelnik, 1970).

[9] Antoni Słonimski.

Z telefonem od Ciebie trudno (telefon w każdym razie podaję: INV 91–09; adres masz od dawna: c/o Pierre Emmanuel, 61, rue de Varenne, P.VII) trudno, bo rekonwalescent w domu, o dziesiątej wygaszają dół (tam, gdzie telefon, a niedaleko sypialnia Pierre'a), więc raczej nie wyobrażam sobie tego. Raczej musielibyśmy umawiać się u Devaud (754–96–08) albo Claudine (DAU 42–91), wszystko skomplikowane, chociaż do zrobienia. Gdybyś jednak załatwiła swoje sprawy i miała przyjechać, depeszuj zaraz (wiesz, gdzie jestem do 14 i po tej dacie), wstrzymam powrót o parę dni. Jeśli nie, byłbym chyba pod koniec miesiąca, prawda?

Teraz idę spać, dochodzi pierwsza, siedzę pod lampą (niebieska glinka, nie, to metal z niebieską emalią, w formie dzbanka i żółtym, dużym kloszem z płótna), przy niedużym biurku (wielkości Twojego stołu, ale niższym, to jednak wygodniejsze), ułożyłem tu książki, papiery, trochę gazet – i stoją tu moje fajki – i tytoń Prince Albert. Gauloisów też trochę palę, niestety, ale trudno sobie odmówić. Myślę, że tłumaczeń Illyésa[10] nie warto przesyłać: niewiele tego w końcu bym zrobił. Usiądę nad tym w domu (czy przyszły umowy?) i zrobię za jednym zamachem albo za dwoma (zob. bajka o dzielnym szewczyku). Wieczorami raczej będę czytał, jednak trudno pracować przy ciągłych przenosinach – a do tego żadnych notatek, to mi nie Obory, dziwne zdanko, ale niech mu tam będzie; ach, i jeszcze jedno, teraz wystawy napoleońskie: w Grand Palais i w Archives (trzecia była w Bibliothèque Nationale, do 2 XI pt.: *La légende Napoléonienne**) i zastąpił ją, któż, ach, któż? Apolinary. Jest to jednak niesamowite trochę. A na zapałkach przede mną, na stole, wizerunek nie Napoleona wprawdzie, ale Korsykanina zwyczajnego z napisem „Corse": ma niebieskie portki, koszulę żółtą w czerwoną kratkę, przepaskę na głowie i strzelbę-dwururkę na plecach.

Tak to jest, ale chyba plotę, to pewno z braku nowin poważniejszych do zakomunikowania; i myślę nawet, że na prawdziwe nowiny trzeba sobie zasłużyć, to znaczy posiedzieć trochę w jednym miejscu, poddać się fali życia i zdarzeń, itd. itp., a tak: co za wieści być mogą od dwutygodniowego podróżnika? Łazi to-to, koresponduje, ogląda, odpoczywa, wyczekuje listów i jeździ po nie na dawne adresy. Codziennie np. dzwonię do dawnego hotelu i do Pen, czy nic nie przyszło – i zaraz jadę – i zanim się obejrzę, już dwunasta na zegarze; pamiętasz to słuchowisko?

* (fr.) – Legenda Napoleońska.

[10] Gyula Illyés – węgierski poeta; mowa o przygotowywanym tomie *Poezji wybranych* (LSW, 1970).

„Już dwunasta na zegarze,
Gaście światła, gospodarze!"

Ale to szło o północ. Jak teraz. Już właściwie dziesięć po pierwszej. Ciepło, okno otwarte, czasem przejeżdża jakiś samochód, cisza. Dobranoc, kochanie, pisz często, całuję Cię mocno, A

6 XI 1922 godz. 00.15

Kochanie, to liścik urodzinowy, piszę go tuż po północy: dziękuję za życzenia, wiem, że mi je składasz w myślach; ściskam Was obie. Miałem dziś dużo bieganiny. Wczoraj wysłałem Ci obszerny list. Ostatnie Twoje nowiny były z 28 i 29 X, jednak długo to trwa, chociaż – po namyśle: dostałem je po czterech dniach, pięciu może, więc nie bardzo się to w końcu wlokło. Byłem w „Mercure de France", widziałem się z p. Boyer, wysłała już list do tłumacza, też im się spieszy. Chcieli wydać Twego *Apollinaire'a* teraz, w listopadzie. Jestem zaproszony do domu, mam poznać męża i dzieci, pewno w przyszłym tygodniu. Dziś byłem na wystawie apollinairowskiej, jest bardzo ciekawa, ciekawsza niż wyglądało ze sprawozdań, mam katalog dla Ciebie. I załatwiłem sobie wstęp do Bibliothèque Nationale, przeczytam Ci przedmowę Nervala do *Fausta*. Itd. Jutro znowu dzień raczej bardzo pełny, kładę się zaraz, trochę jestem zmęczony. Ale prawdę mówiąc, wolę to niż samotne przetrawianie, przynajmniej od czasu do czasu. Czy złożyłaś papiery? Czy myślisz, że moglibyśmy spędzić tu razem parę dni? Ja będę u Pierre'a, dopóki się to nie wyjaśni, jak najdłużej. I postarałbym się zarezerwować coś dla nas, może na Pierre Charron. Ale czy to realne? Zobaczymy. Ja myślę, że realne, tak mi się zdaje. Pogody teraz jesienne, trochę chłodne, z dwiema godzinami słońca w południe i wieczorna mgiełka. Ładnie, tak wszyscy mówią. No więc tyle. Dobranoc. Może jutro będą listy od Ciebie. Wtedy dopiszę. Ucałowania, ściskam mocno. A.

Ucałuj Daniela.

Godz. 14.30

Kochanie, wspaniały urodzinowy połów: list (z 3 XI 69) i trzy kartki (z 29 X, 1 XI (od Daniela) i 2 XI). Wszystko to odebrane dzisiaj, przed chwilą, w Pen-Clubie. Przyjechałem tu, co dzień dzwonię, czy coś jest. Nic mi nie powiedzieli, że telefonowałaś, strasznie żałuję. Ale 31 X mieszkałem już u Pierre'a; może tam zadzwonisz? Najlepiej tak, jak do Pen-Clubu, koło

9.00. Jest jeszcze jakaś kartka w hotelu na wyspie, pojadę. Posyłam list, żeby prędzej doszedł – ucałowania. A

Paryż, 6 XI 1969

Kochanie wysłałem Ci dzisiaj list, z dopiskiem o trzech kartkach i liście, odebranych w Pen-Clubie. Ale pewno do końca będę na Varenne i pisz na ten adres, telefon też, na wszelki wypadek, przesłałem. Gdybyś miała być tu parę dni ze mną, dzwoń. Jeśli nie, zobaczymy się pod koniec miesiąca w domu; nie zdecydowałem się jeszcze na wyznaczenie daty. Mam w każdym razie bilet powrotny, lotniczy, więc rezerwować mogę w każdej chwili i z dnia na dzień. W Normandii nie byłem. Martine i rodzina zrezygnowali, na rzecz Burgundii, za tydzień, ale też chyba nic z tego nie będzie, zresztą, nie kwapię się; jak wyjdzie, tak wyjdzie. Obejrzałem parę wystaw, ale nic ciekawego; Biennale plastyki jak w mojej *Złotej papudze*, kapka w kapkę. Dziękuję, że robisz korektę (i cieszę się, że Ci się podoba). Recenzja z *Wolnych rąk*[11] bardzo mi odpowiada jako książka miesiąca, owszem, spisali się tym razem. Jerzego Lis.[12] jeszcze tu nie ma, pytałem wczoraj Hanię[13] – widziałem ją – spodziewali się go na wczoraj, dzisiaj albo pojutrze. Zostawiłem telefon, zresztą sam zadzwonię. Pierre ma się lepiej, już chodzi trochę po domu. Dostałem kartkę od Walka[14] i panienek[15], z Krakowa, podziękuj im, bo nie mam adresu. Przedstawia dziedziniec na Wawelu. A Walek narysował kwiatek, ośmiopłatkowy, z listkami, własnoręcznie. O Twojego *Apollinaire'a* będę pytał: powinna nadejść odpowiedź od Erika w tym tygodniu. Serdeczność otacza mnie tu wielka, ale nie sposób sprostać jej w czasie, i w zdrowiu, bo już lata, pani kochana, nie te, co dawniej. Frénaud[16] dzwoni tu prawie co dzień, widział się z Bonnefoy[17], właściwie nigdy nie spotykałem tylu poetów w tak stosunkowo krótkim okresie, chcą zaprezentować moje wiersze w radio francuskim, ale przekłady trzeba by dopiero zrobić, więc nieprędko to pewnie usłyszymy. No, ale to konkretne przynajmniej, bardziej niż wszystko inne. Mniejsza zresztą o to; największa przyjemność, że nie moja to inicjatywa:

[11] Tom wierszy Julii Hartwig (PIW, 1969).
[12] Jerzy Lisowski – tłumacz, krytyk, późniejszy redaktor naczelny „Twórczości".
[13] Hanna Lisowska.
[14] Walenty Hartwig – brat Julii Hartwig, profesor, endokrynolog.
[15] Córki Walentego: Jolanta i Elżbieta.
[16] André Frénaud – poeta francuski.
[17] Yves Bonnefoy – poeta francuski, eseista.

Frénaud i jego przyjaciele-poeci wpadli na ten pomysł, itd.,itp., ale wszystko to razem nie rozprasza moich smutków. Jesień, smutna podróż. Jutro, po zapytaniach o korespondencję, znowu napiszę. Ucałowania.

A

PS. Nie przenoszę się do Pen-Clubu i zostaję na Varenne, bo Pierre nie tylko mi to zaproponował, ale prosił niemal: przechodzi samotną rekonwalescencję po operacji – podobno jest mu raźniej, kiedy jestem. Więc jestem; dom jest zresztą tak duży, że nikomu nie nachodzę na głowę; nawet łazienka jest oddzielna. Czy nie zgodziłabyś się na moim miejscu? Te ciągłe przeprowadzki zbijają zresztą z pantałyku, nie mówiąc o stronie materialnej, patrz Rimbe, listy. *À propos*: pewno się już drukuje?[18]

Wieczorem

No więc dzień urodzinowy skończony. Spacerowałem trochę, padał lekki deszczyk, już minął. Jest cicho; chciałbym być w domu; niedługo będę. Jestem tu już dwadzieścia dni, dawno już tak długo nie byłem, myślę, że zajęcia w Bibliotece, poetyckie sprawy, parę jeszcze wystaw itd., itp. to jeszcze dwa tygodnie. W sumie byłby więc miesiąc z kawałkiem. Tracę tu poczucie czasu, wydaje mi się, że jestem tu z pół roku. Miałem dziś tort ze świeczką, jedną, przez delikatność. Jeszcze raz przeczytałem Twoje dzisiejsze listy. Nie zastałaś mnie na Pierre Charron 31 X, bo przeniosłem się 30 X (tego właśnie dnia Starzyński leciał do Warszawy – szedłem już z walizkami ku wyjściu) źle Ci powiedziano, że wyszedłem: już tam nie mieszkałem. Gdybym wiedział, że zadzwonisz, nie ruszałbym się, oczywiście. Wyobrażam sobie Twoją przykrość – czeka się – i nic.

Tytuł płyty dla Danieli zapisałem sobie i noszę od dziś kartkę w płaszczu. Jednak dusza artystyczna: o cenę nie martw się, bo sweter nie byłby tańszy. Tyle, że efekt większy jakiś, ale czy ja wiem.

Dobranoc, kochanie. Wracałem wieczorem przez bulwar Saint-Germain, wszystko wydaje mi się znacznie mniejsze niż dawniej, psychologowie znają to zjawisko – i w *Panu Tadeuszu* też to jest („mniej wielkie niż się dawniej zdały"). *À propos*: oglądałem przesunięty pomnik Mickiewicza. Stoi teraz nad Sekwaną, prawie zupełnie spatynowany, zielonkawy. Pamiętałem go zupełnie inaczej. Dobranoc. Ucałowania. A

[18] Chodzi o tom korespondencji Artura Rimbaud *Ja to ktoś inny* w tłumaczeniu i opracowaniu Julii Hartwig i Artura Międzyrzeckiego (Czytelnik, 1970).

7 XI g. 9.00

Kochanie, nadeszły dwie kartki, bardzo się nimi ucieszyłem: jedna z 3 XI, druga z 4 XI, pisana wspólnie: z Joanną[19] i Jarkami[20], na urodziny. Dziękujemy, *merci*. Wrzucę list do skrzynki jak wyjdę. Ściskam Cię mocno.

PS. Zbyszka[21] tu nie ma, pisałem do niego, nie odezwał się jeszcze. Wiem, że mnie poszukiwał.

9 XI 1969

Kochanie, piszę parę słów, żebyś miała wiadomości regularne – chociaż żadnych nie ma nowości ani sensacji – poza tym, że znowu deszcz, piszę w niedzielę rano, wybieram się na spacer po wystawach, ale czekam, żeby trochę przestało padać. Dochodzi wpół do dziesiątej, piłem już kawę, dom budzi się dziś później niż zwykle, jest niedzielnie i trochę smutno. W przyszłym tygodniu mam mówić o poezji polskiej. Frénaud i jego koledzy-poeci zaproponowali też i załatwili audycję w radio paryskim, też za tydzień mniej więcej. To ma być lektura moich wierszy – i ja też mam czytać – zresztą nie wiem dokładnie, będę wiedział jutro rano – o dacie i przekładach jakie mają zrobić przy mojej pomocy i bardzo szybko. Dziś wieczorem będę na kolacji u Devaud. Zrobiłem sobie dzień spokojny, odczuwałem od wczoraj zmęczenie, to zrozumiałe. Bardzo brak mi Ciebie i Daniela. Będę dalej dopisywał do tej kartki, bo i tak poczta dzisiaj nieczynna. W końcu nic nie wyjdzie z wyjazdu do Burgundii: nie ma kiedy, dni zaczęły pędzić. Jestem tu już trzy tygodnie. Wspominam je jak przestrzeń bardzo serdeczną i trochę pustą. W przyszłym tygodniu (jutro, koło trzeciej) mam dzwonić do „Mercure de France" w sprawie Twojej książki. Ucałowania, kochanie.

A

Przed południem była burza z piorunami (listopad!), przeczekałem najsilniejszy deszcz w sklepie z warzywami i coś tam sobie kupiłem przy okazji. Właściciel sklepu wołał: *Il n'est pas content! I: c'est fantastique!**, jestem już po obiedzie, będę trochę pracował, u siebie. Dzwoniłem dziś do Wandy Żółk.[22], która jutro wraca, prosiłem, żeby Ci oddała ukłony. Poza tym: nic

* (fr.) – Jest niezadowolony! To fantastyczne!

[19] Joanna Guze – tłumaczka, krytyk, historyk sztuki.

[20] Jarosław Marek Rymkiewicz i jego żona Ewa.

[21] Zbigniew Herbert.

[22] Wanda Żółkiewska.

nowego. Jeśli nie będziemy tu mogli spędzić paru dni razem, nie ma po co przedłużać mojego pobytu, prawda? Będzie zdaje się przerwa w listach, bo poczta zamknięta i dziś (niedziela) i jutro. Trochę przemokłem. Zmieniłem obuwie, dobrze że wziąłem dwie pary.

10 XI poniedziałek

Jednak poczta jest, dostałem Twój list z 5 XI, szybko doszedł (wczoraj niedziela), więc tym bardziej, cieszę się bardzo. Teraz jest 9-ta rano. Jestem już gotów, zszedłem na dół na kawę, wziąłem list i poszedłem z nim na górę. I jest w nim kartka z *Giornale dei Poeti, merci*, coś im poślę. Kochanie, w związku ze złożeniem papierów nie zapomnij o wizach, załatw je od razu, już teraz. Pamiętaj, że francuska ważna jest w pięć dni po wystawieniu (jeśli mamy być razem, nim wrócę, liczy się każdy dzień, jeśli mamy razem być tydzień). I załatw sobie już teraz w Zaiksie kwotę z Twojego rachunku dewizowego, bo to trwa, przechodzi przez bankowe formalności itd.

Co do korekty: ma być „w ogródkach i w srebrzystym listowiu" (nie „o" tylko „i", tak jak jest – ale brak „w"). Ciekawe, że i ja medytowałem kiedyś nad tym zdaniem. Zdanie z fragmentem „najniechętniej wychodził z domu": niby tak było. Ale jeśli Cię razi, zmień na „niechętnie". Albo zostaw, zaznaczając tylko, na kartce – o którą idzie stronę: ustalimy przy drugiej korekcie. Zresztą: zdaję się tu na Ciebie w zupełności.

Daniel przeziębiony? Czy nic poważnego, jeśli poszła do szkoły, prawda. 4+ z klasówki, nieźle. Jak mówi Jaroś[23]: a dlaczego nie 5? Ale 4+ bardzo ładnie, brawo. Płytę *Abbey Road* widziałem już i wiem, gdzie ją kupić.

Wybór Illyésa jeszcze nie zrobiony: to znaczy: zrobiony, ale trzeba to ostatecznie ustalić.

Pytasz o moje zdrowie. Odczuwam zmęczenie. Sypiam różnie, na ogół dobrze. Czuję się dość samotnie, ale na to nie ma rady. Brak mi Ciebie i domu. Pozdrowienia, które przesłałaś mi od świnki morskiej, bardzo mnie ucieszyły: widzę ją. Uściskaj panią Anielcię. I przyjaciół.

Całuję Cię, uściski, pisz, kochanie. A.

---

[23] Jarosław Iwaszkiewicz.

13–14 XI 69

Kochanie, piszę parę słów, żebyś miała ode mnie znak życia. Chodzę, oglądam, noszę parasol, bo pada, myślę, że koło 27 będę wracał.

Onegdaj dzwoniłaś, bardzo mnie to podniosło na duchu. Wysłałem Ci kartkę z wiadomością, że zostaję do końca na Varenne. Nie pamiętam, czy mówiłem Ci o tym przez telefon?

O korekcie: tak, pisze się *trobar clus* (ale to dwa słowa, sprawdź w maszynopisie, bo nie jestem w stanie tutaj sprawdzić). To tzw. ciemne formy trubadurów prowansalskich. Znajdziesz w *Brewiarzu miłości*, wyd. Ossolineum na jednej z dolnych półek na prawo od biurka, na przeciw drzwi, przy oknie, wśród tomów Ossolineum, w jasnych okładkach, we wstępie. Dziękuję i przepraszam.

Twój tłumacz *Apollinaire'a* nie odezwał się do „Mercure" jak dotąd, mam dzwonić jutro do pani Boyer. Zaprosiła mnie na kolację, w środę, żeby przedstawić rodzinę. Tymczasem ja również napisałem do Macon, żeby pobudzić Veaux do jakiejś odpowiedzi. Pewno się odezwie, oby jak najrychlej. W każdym razie robię w tej sprawie co mogę, i trochę się wściekam. Ofiarowano mi też w „Mercure" jakąś książkę do wyboru, wybrałem *La vie artistique de Baudelaire** Tarabanta, pewno przyda się Tobie także.

Martine otrzymała Twoje kartki, bardzo Ci dziękuje. U nich wszystko w porządku, zapracowani, mili. Mam nadzieję, że Daniel już zdrów.

I biegnę na pocztę (dziś czwartek, godz. 19.30), bo chciałbym wrzucić list do skrzynki nim zamkną. A

Piątek, 14 XI 69

Kochanie, piszę parę słów, w kawiarni, niedaleko Denfert-Rochereau, dni zaczynają pędzić, jestem tu już więcej niż trzy tygodnie. (...)

Pierre w dużo lepszym stanie, onegdaj jedliśmy razem *déjeuner***, dostał doktorat *honoris causa* (tytuł) w Oxfordzie, ale to na razie tajemnica; najistotniejsze, że nie grozi mu po operacji żadne niebezpieczeństwo. Przekazałem mu Twoje życzenia, bardzo o Ciebie dopytuje, itd., wczoraj trochę oklapł – na parę godzin – zdjęli mu wreszcie wielkie bandaże i zobaczył bliznę po operacji: przez pół. Co jeszcze? W przyszłym tygodniu wybieramy się z Devaud na Pintera (*Le gardien*, w Théâtre Moderne), już do Burgundii nie pojadę,

* (fr.) – *Życie artystyczne Baudelaire'a.*

** (fr.) – obiad (ten wczesny, południowy).

bo nie ma kiedy. Jutro zobaczę akwaforty Rembrandta w Musèe du Louvre i przejdę się przy okazji po Luwrze. (...)

Sobota, 15 XI 69

Kochanie, przyszły dziś dwa listy od Ciebie z 10 i 11 XI. O korekcie: oczywiście, powinno być (o kurach): „postawionymi". O oznajmieniach: chyba nie „zabiegające o nas", ale po prostu „dobiegające"? Zresztą nie umiem tego rozstrzygnąć bez tekstu pod ręką, nie mam go teraz, sprawdź z maszynopisem. I rozstrzygniemy, żeby miało sens. A może miało być w ogóle inne słowo?

Widziałem dziś Jerzego Lis. Wziął *Złotą papugę* do czytania, nie wiem, kiedy znajdzie tu czas, żeby spokojnie przeczytać, ale – może?

Czuję się trochę zmęczony tym pobytem, zresztą przyjemnym, ale – mimo wszystko – samotnym. Jeśli nie masz tu przyjechać, wrócę pewno koło 27 listopada. Nie ma chyba sensu siedzieć dłużej, prawda? (...)

Cieszę się, że idą Twoje wiersze w „Twórczości", zawsze to jakieś miłe czekanie i czytanie, na nowo, w druku. Ucałowania, kochanie, kończę, żebyś coś ode mnie miała jak najszybciej, uściski dla Daniela. A

Niedziela, 16 XI 69

Juleczko, kochanie,

napisz mi słówko w sprawie przyjazdu: 27-ego czy posiedzieć parę dni jeszcze, z uwagi na Bibliotekę i lektury. Bardzo chciałbym Cię zobaczyć, jak najszybciej, ale nie wiem czy trzymać się tej daty (27–28), czy jeszcze trochę posiedzieć. Dłuży mi się ten pobyt, długo, smutno, itd., itp. Napisz, zastosuję się, ale napisz możliwie szybko. Rezerwację biletu załatwia się z dnia na dzień, to żaden problem. Tymczasem dobranoc, ucałowania. PS: Byłem dziś z Martine (otrzymała Twój list) i Emmanuelem w parku Buttes-Chaumont, to jednak niezwykłe i w swoim rodzaju jedyne.

Poniedziałek rano, 17 XI

Przyszły dwa listy od Ciebie, z 12 i 14 XI, więc szybko odpisuję. Martine otrzymała Twój list i dziękuje. Co do korekty: oczywiście ma być „apostolatem" (nie: „apatolatem") i ma być „sinfonia Vivialdiego" (tak się nazywa).

Eisensteinowski „montaż abstrakcji" też dobrze, idzie o tzw. montaż abstrakcji (rodzaj montażu filmowego użyty przez Eis.). I to już chyba wszystko. (...) Nie wiedziałem, że Peiper umarł. Jak to leci w tym roku! Irenie[24] zdawało się, że wracam później, bo się zapowiadałem na grudzień, w zasadzie.

Cieszę się, że Ci się książka podoba i że podoba się Twój tom. Co do antologii dla Meksykańczyków: powiedz Kuśniewiczowi[25], że wiersz o Żywcu jest trudno przetłumaczalny (albo w ogóle nie, chociaż – po zastanowieniu – może być, niech spróbują, co nam szkodzi). Dziwne, że nie zastanę Anielci, ale przecież wiem, że nie zastanę. Już kończę, żeby wrzucić list za chwilę, na poczcie. Ucałowania, kochanie, uściskaj Daniela. A

18 XI 1969

Kochanie,

wczoraj wysłałem Ci liścik – po otrzymaniu listu i karteczki dziś przyszła kartka, nie ma na niej daty, ale stempel pocztowy z 13 XI. (...)

Dziękuję za wiadomości o szkicu o Rimbaudzie, tomie Illyésa itd., domowy powiew spraw dobrze robi. Pierre w lepszej formie, co rano chichoczemy w kuchni przy kawie; pogody różne, dziś zresztą ładnie. Ale właściwie, bardzo mi smutno, nie ma na to rady. Chodzę do Biblioteki Narodowej, czytam trochę, Twojego Nervala, wynotuję Ci. (...)

Nie piszę więcej, bo jutro znów napiszę, zaraz wysyłam ten list. Daniela ucałuj. Ściskam Cię, kochanie. A

19 XI 69

Kochanie,

piszę tylko parę słów, po wczorajszym liście. Właśnie przeczytałem (godz. 17) Twoją kartkę z 16 XI. (...) Co do *Złotej papugi*: jeśli „Twórczość" chce drukować fragment (w tej sprawie piszesz), to proponuję: „Festiwal w Santa-Fe" (przedostatni rozdział) + zakończenie. Albo sam „Festiwal". Proponuję też tytuł: „Festiwal itd." (jak w książce) oraz podtytuł (albo przypis pod gwiazdką): „Fragment *Złotej papugi*, opowieści o przygodach i miłostkach Franciszka Diabola-Diablotki".

[24] Irena Szymańska – redaktorka wydawnictwa Czytelnik, tłumaczka.
[25] Andrzej Kuśniewicz – pisarz.

Sprawdź tylko to wszystko z maszynopisem – i w imię Boże. Jak Ci pisałem, zamawiam bilet na 27-go, w Air France (nie w Locie). W razie zmian depeszuję.

Gdybyś miała dzwonić, to rano, koło 9-ej, jak ostatnim razem. Całuję Cię i ślę uściski.

Do zobaczenia, kochanie, A

Pogłaszcz Daniela.

Listy Julii Hartwig do Artura Międzyrzeckiego podczas jego pobytu w Paryżu w październiku i listopadzie 1969 roku

15 X 69 (kartka z widokiem Starego Miasta)

Kochanie,

dostałam dziś telegram, cieszę się, że jesteś na miejscu. Usiłuję wyobrazić sobie co robisz, dziś niedziela. Byłam w Stawisku[1] z Jurkiem, bardzo było miło, cieszyli się wszyscy, że się trochę rozruszasz. Wyszła moja książeczka *Zguba Michałka*, bardzo ładnie wydana. (...)

My z Danielą[2] zdrowe, dziś na szczęście ostatnie jazz-jamboree, wreszcie będzie spokój. Jurek z Hanią[3] jadą 3-go, gdybyś czegoś potrzebował, napisz, będzie okazja. Czy nie marzniesz? Wysłałam liścik do Martine[4], całuję Cię, kochanie, bardzo, Julia

---

[1] Dom Jarosława i Marii Iwaszkiewiczów.

[2] Daniela – córka Julii Hartwig i Artura Międzyrzeckiego.

[3] Jerzy i Hanna Lisowscy.

[4] Martine Devaud – przyjaciółka z Paryża.

23 X

Kochanie,

nie było jeszcze listu od Ciebie, ale jeszcze być nie mogło. Liczę, że przyjdzie coś na początku przyszłego tygodnia. Mam nadzieję, że dostałeś moje karteczki? Wczoraj był dzień bardzo ożywiony, wręczyli mi vadium w Naszej Księgarni, było dużo ludzi, kilku sympatycznych, był też Wiktorek[5], obok którego się usadziłam przy kawie, po drugiej mając panią Hannę[6] z radio. Otrzymałam, co miałam otrzymać, resztę za *Zgubę Michałka*, który wyszedł w podwójnym nakładzie, więc miło, bo dwa kawałki jak z nieba. Wysyłam też dzisiaj wierszyki do „Zwierciadła", bo bardzo redaktor nalega.

A wieczorem znów uroczystość Czytelnika, tym razem przedstawienie wydało mi się złe, nastrój sali ciężki i mało radosny jak na taki jubileusz. Wyszłam z Adolciem[7], którego zaprosiłam na herbatę, jak Ty ongiś na kiełbasę, co rzewnie wspominał. Popłakaliśmy razem i umówiliśmy się na wystawę sztuki rosyjskiej. Niech nas Pan Bóg kocha!

Miałam jeszcze Ewcię[8] na obiadku, która mnie bardzo zachęcała, żeby skorzystać z jej pokoju w grudniu, bo wyjeżdża trochę później niż zamierzała. Tłumaczyła mi, że mogę złożyć papiery, podając datę Twojego powrotu i prosząc o wyjazd nieco późniejszy. Oczywiście musiałabym się z tym bardzo spieszyć, więc piszę Ci żebyś zdecydował. Ale mnie się wydaje, że to wszystko odłożę na późniejszy termin, bo teraz powinnam kończyć Nervala przede wszystkim. Może mnie potem przytuli Ania[9]? Nie mogę przecież z powodu pokoju nastawiać się na termin. Ale napisz, co myślisz.

W domu nic nowego. Daniel dużo się uczy, ale późno chadza spać, na jutro mam bilety do Filharmonii na Bacha i *Mszę* Mozarta, może mi się uda ją namówić. Byłam w kinie na *Braciach Karamazow* i wzruszyłam się, choć nie sztuką, ale widokiem stepu i losu. Każdy ma coś za uchem, jak coś ogląda. A Ty, czy chodzisz do kina? Mój kochany Panie, całuję Pana bardzo mocno i ściskam, Jula

[5] Wiktor Woroszylski.
[6] Hanna Januszewska – autorka książek dla dzieci.
[7] Adolf Rudnicki – pisarz.
[8] Ewa Fiszer – tłumaczka i poetka.
[9] Ania Pozner – tłumaczka, m.in. Leszka Kołakowskiego, mieszkająca w Paryżu.

Warszawa, 28 X 69

Kochanie, przyszedł wreszcie wczoraj list od Ciebie, a właściwie dwa listy i kartka do Danieli. Właściwie nie spodziewałam się wcześniej, list szedł pięć dni, kartka osiem, a opóźniła doręczenie niedziela. Mało wiem z tego co u Ciebie, zasmuciłam się tą operacją Pierre'a[10], bo mniej go zobaczysz, ale co robić. Miły był ten dopisek na kartce, ewentualność wycieczki do Normandii. Ja bym pojechała, zawsze miło zobaczyć stary dom i kawałek morza.

Nie powinno Ci być smutno, pewno już się przyzwyczaiłeś i obracasz to na poetycką mąkę. Przeszłabym się z Tobą chętnie po nadbrzeżach i może należało się starać o wyjazd. Tadzio K.[11] wczoraj bardzo mnie namawiał, żebym się starała o wyjazd, żeby Cię złapać, zanim jeszcze wyjedziesz, ale przecież nie zdążę. Przez chwilę w każdym razie pomysł ten pobudził mnie do miłych marzeń.

Jeśli chcesz, żebym zadzwoniła do Ciebie, napisz telefon i porę, w jakiej będziesz, to zadzwonię. Oj, Ty podróżniku!

Wczoraj było święto austriackie, spotkałam tam znajomków, wszyscy mile o Ciebie pytali i gdzie i jak i na jak długo. Na wizycie u Joasi[12] Jareczek[13] posprzeczał się z Andrzejem[14] o literackie głupstwa, a potem Andrzej mówił Joasi, że to już tak będzie, i coraz gorzej, i że gdyby to był spór z Tobą, to by się bardziej przejął, bo to byłoby nerwicowe i sięgałoby stref serca. Nagle z niego wychodzi takie ciepło. A bardzo się dopytuje o wieści od Ciebie. Kochani są, ale oczywiście w miarę lat wszyscy coraz dalsi, „chociaż się kochamy". Arturze kochany, drogi, pisz, bądź dobrej myśli i napisz, czy Ci coś trzeba przysłać? Może chciałbyś tego Illyésa, żeby sobie wypełnić wieczory? Całuję Cię, kochanie. Julia

Czy piszę dobre *arrondissement**? Czy to jest czwarte?

Warszawa, 5 XI 69

Kochanie, tak się rozpuściłam, że kiedy dziś, drugi dzień, nie ma od Ciebie listu, jestem bardzo rozczarowana. Ale pewno coś jutro przyjdzie, bądźmy cierpliwi. Dziś wieczorem otwieram wieczór Czechowicza, mam nadzieję,

* (fr.) – dzielnica.
[10] Pierre Emmanuel – poeta francuski, członek Akademii Francuskiej.
[11] Tadeusz Konwicki.
[12] Joanna Guze – tłumaczka, krytyk, historyk sztuki.
[13] Jarosław Marek Rymkiewicz.
[14] Andrzej Kijowski.

że będzie trochę ludzi, potem wpadnę do Joasi, bo przyjechała Myszka[15] i będzie u niej na kolacji.

Od trzech dni mamy jakby powrót łaskawszej jesieni, jest cieplej, a dziś nawet słonecznie. Robię twoją korektę[16] i dwa miejsca wydają mi się niepewne, zaś tekst korekty jest taki sam w maszynopisie i brzmi: „(...) wszystkie budowle, z wyjątkiem świątyń i obiektów o przeznaczeniu społecznym i kulturalnym, to jednorodzinne domki w ogródkach i srebrzystym listowiu". Przypuszczam, że zamiast: i ma być: o, prawda? Drugie: „Cierpiał już na stany lękowe, z czego nie zdawaliśmy sobie sprawy, choć najniechętniej wychodził z domu i zdarzało się, że długo zatrzymywał nas u siebie, jak gdyby bojąc się zostać sam w swoim mieszkaniu przy ulicy Głównej". Czy tak ma być? Napisz. Akurat jak odpiszesz, zdążę z resztą korekty bo jestem w połowie, chwilowo pośpiech nie jest konieczny, bo jeszcze tekst jest w czytaniu.

Co jeszcze, kochanie? Daniela trochę przeziębiona, ale poszła do szkoły, dostała 4+ z klasówki z polskiego. Dzwonili z Wydawnictwa Ludowego, wysyłają umowę na wybór i na wstęp Illyésa, zaraz po otrzymaniu wyboru załatwią umowę na tłumaczenie. *À propos*: jeśli wybór jest zrobiony, mogę go dać do przepisania i wysłać, ale nie przynaglano mnie, to tylko propozycja moja. Gracja[17] już wróciła, cierpi na nogę i mało wychodzi, poproszę ją któregoś dnia na obiad. Jutro będzie Carlo z Basią[18] i synkiem, wieczorem, to już pożegnalna kolacja. Dzwonił Antoś[19], przyjechał wreszcie Piotr[20], i mają zamiar zaprosić z tej okazji na herbatkę. Dostał kartkę, bardzo zadowolony, dostał także Andrzej[21], ale się skarżył, że bardzo lakoniczna.

Jak Ci jest? Czy jesteś zdrów i czy nic Ci nie dolega? Jak sypiasz? Przesyłam Ci list od Pesce Gorini[22], prosi, jak zrozumiałam, o jakieś wiersze i podaje termin, więc wolę Ci pokazać.

---

[15] Maria Rzepiska – historyk sztuki, autorka znakomitej książki *W kręgu malarstwa* (Ossolineum, 1988).

[16] Korekta, o której mowa dotyczy książki *Złota papuga* (Czytelnik, 1970).

[17] Grácia Kerényi – poetka i tłumaczka węgierska, córka znakomitego historyka religii, Károlya Kerényiego.

[18] Carlo Verdiani – profesor slawistyki na uniwersytecie florenckim, autor antologii poezji polskiej i jego żona Barbara.

[19] Antoni Słonimski.

[20] Piotr Słonimski – profesor, biogenetyk, bratanek Antoniego Słonimskiego.

[21] Andrzej Kijowski.

[22] Pesce Gorini – poetka włoska, redaktorka pisma „Journal des Poètes".

Trochę smutno bez Ciebie, ale jakoś się toczy, kochanie, całuję Cię i od Daniela ślę uściski. Pani Anielcia[23] się kłania, świnka[24] Cię pozdrawia kosmatą łapą.

Warszawa, 8 XI 69

Kochanie,

sobota, nic nie przyszło zjeżdżałam windą kilka razy, żeby sprawdzić, czy listonosz nie przyszedł, ale dla „pani redaktor" nic nie było, bo wczoraj była kartka i list razem, za dużo mi się zachciewa.

Przedwczoraj przyjęłam na pożegnanie Carla i Basię, doprosiłam Andrzejów, których rzadko widuję i wieczór minął bardzo domowo, choć bez Ciebie to nie to. Ale wypiliśmy za Twoje zdrowie, bo właśnie był Twój wieczór urodzinowy i nawet goście domagali się, żeby dzwonić do Ciebie z życzeniami, ale się oparłam. Jeśli już mam dzwonić, to wolę samolubnie sama, niż żeby oni się nasładzali. Jeszcze raz przypomniałam Basi, żeby o nas nie zapominała, kazałam jej zapisać adres, ale przy jej opieszałości może wysłać kartkę dopiero pod koniec listopada, a może nawet w grudniu, uprzedź więc Martine, bo gotowa odesłać z powrotem, a to by było głupie.

Byłam wczoraj z Danielą na *Nie-Boskiej komedii*, właściwie mi się podobało, mam teraz feblika do romantyzmu, więc wszystko trafia na dobry grunt. Daniela trochę przeziębiona, ale dzielnie chodzi do szkoły, nie ma temperatury, więc jej nie pakuję do łóżka. Pokazałam Jarkowi wiersze, które znasz, wrzeszczał, że wpadłam wreszcie na swój trop poetycki, wyliczał romantyczne toposy, które znalazł w tekście. Bardzo jest śmieszny, ale nadzwyczaj solidny, jak już weźmie wierszyk do ręki, to nie popuści.

Co Ci jeszcze opowiedzieć? Jutro niedziela – idę na obiad do starszych państwa, bo Piotr wyjeżdża już po południu. Janka[25] miała grypę, ciągle marnie się czuje i Antoś[26] skarżył się, że sobie poparzył palce przy robieniu śniadania. A w piątek znów idę do Baziów na herbatę, razem z Jareczkami, więc niedziela wypełniona „z meniskiem", jak kiedyś lubiłeś powtarzać (a nalewając co, mianowicie?). Korekta robiona przeze mnie co dzień i systematycznie, w przyszłym tygodniu oddam, ciągle mi się podoba, pewno

[23] Pomoc domowa.
[24] Świnka morska.
[25] Janina Konarska – żona Antoniego Słonimskiego, malarka i graficzka.
[26] Antoni Słonimski.

już tak będzie do końca. Dzwonił Hieronim[27], że może zrobisz jeszcze kilka tłumaczeń Whitmana, ale mu się spieszy, więc pewno nie zrobisz. Co poza tym? Już pewno wszystko z grubsza, następny list wyślę już na Pierre Charron, więc tam sobie odbierzesz. Całuję Cię, kochanie, Jula

Warszawa, 14 XI 69

Kochanie, nie ma drugi dzień listu i dusza kaprysi. Przywołuję ją jednak do porządku i piszę: byli Zikowie[28] i Kasia zaprosiła na imieniny (już mi pan to mówił), poza tym prosi, żebym Ciebie z kolei poprosiła o kamienie do zapalniczek. Dostaniesz to w najbliższym tabacu, podobno kosztowały ongiś jednego franka i wyglądało to tak, że kamyczki były włożone na plastikową tekturkę. Uff!

Wczoraj oddałam korektę, jeśli odpowiesz mi na moje wątpliwości, zdążę je nanieść na tekście, lub Ty, osobiście.

Dziś był pogrzeb Peipera. Byłam, grupka ludzi, ale wieńce i trochę przemówień. Dzień był jakiś cudowny, ciepły, perłowy, i cały ten pogrzeb wydał mi się niestraszny, raczej życie przerażające, zwłaszcza tego biedaka, który być może wcale nie był biedakiem, ale mocarzem. Potem byłam na kawie, pytali wszyscy o Ciebie i dziwnie się dziwili, że już mija pora Twego pobytu. Irenie[29] się zdawało, że będziesz na święta, albo i później, no, ale co z tego? Tak się jej zdawało. Ja natomiast ani się dziwię, ani się nie dziwię, istny ze mnie Kubuś-fatalista. Ano, ano, jak mówi Twój bohater książkowy. Cieszę się z tej książki, przywiązałam się do niej, zupełnie niespodziewanie. Mało dziś pracowałam, idę wieczorem do Jareczków, będzie autorka *Brodzińskiego*[30] i Joasia, a na kolację ma być karp pieczony. (Dostaniesz, dostaniesz!) Pani Anielcia obszywa nas i opiera, w przyszłą środę wyjeżdża, a Maryna[31] przygotowuje mi już kogoś na przychodne.

Zapomniałam Ci powiedzieć, że już przed dwoma chyba tygodniami dzwonił Kuśniewicz[32], że robi antologię poetycką dla Meksykańczyków i że wybrał z Twoich wierszy ten o piwie w Żywcu. Zresztą przypuszczał, że będzie z Tobą rozmawiał, ale Cię nie zastał.

---

[27] Hieronim Michalski – krytyk.
[28] Kazimierz Golde – dziennikarz i Katarzyna Golde – nauczycielka angielskiego.
[29] Irena Szymańska – redaktorka wydawnictwa Czytelnik, tłumaczka.
[30] Alina Witkowska – historyk literatury, znawczyni epoki romantycznej.
[31] Maryna Zagórska – żona poety, Jerzego Zagórskiego, tłumaczka z rosyjskiego.
[32] Andrzej Kuśniewicz – pisarz.

Kochanie, jak Twoje zdrowie, jak się czujesz? Oczywiście, że się stęskniłam, ale co z tego? Liczę się z terminem 25-go i tak wyjdę, nie musisz więc telegrafować, bo to kosztowne. Całuję Cię bardzo, Julia

W-wa, 16 XI 69

Kochanie,

wczoraj wysłałam Ci karteczkę z zapytaniem, jaki fragment *Złotej papugi* mam wybrać do druku. Dziś piszę, bo piszę, jest niedziela, bardzo słoneczna, choć już chłodno. Wieczorem spodziewam się Joasi i Justysi[33], teraz robiłam Nervala, bardzo mi opornie idzie, ale zawsze go trochę posunęłam. Głupie te niedziele, Anielcia oglądała mecz piłki nożnej, teraz Daniel wypełzł z Asią[34] na krótki spacer, w nowym palcie, które wczoraj triumfalnie odebrałyśmy od Kazi. Przedwczoraj byłam u Jareczków[35], onże czytał na moją prośbę trzy nowe wiersze. Bardzo ładne, w sztance dystychu i barokowych wywodów wlał teraz leśmianowskiego ducha, który jednak te wiersze przybliżył.

Czy mówiłam Ci, jak czytając moje nowe (znane Ci) utworki, wołał, że odnalazłam własne romantyczne toposy. Pisałam, teraz sobie przypominam, ale trudno zapamiętać z listu na list. Jak się miewasz? Zawsze pod koniec pobyt jest najbardziej męczący, bo wszystko, co mniej ciekawe, odkłada się na później, a wreszcie przychodzi i później, i biega się wokoło. Dzwoniłam do Wandy[36], żeby się upomnieć o pozdrowienia, ale ona mało wymowna. Kochanie, nasze dziecko pragnęłoby mieć oprócz płyty – parę skarpet, grubych (laine i nylon), w kolorze dowolnym, podejrzewam, że im bardziej wariacki i jaskrawy kolor, tym lepiej. Zważywszy na moje nikłe, a nawet żadne zainteresowanie przedmiotami, myślę, że możesz jej je kupić. Ja nie chcę nic, ale to naprawdę nic, poza satysfakcją bardzo czułą, powiedzenia Panu „Dzień dobry". Cóż jeszcze? Pola[37] otrzymała kartkę, nic nowego do doniesienia, czego byś nie znał. Wszyscy pytają, jak się miewasz i tak Cię lubią, że czasem zazdroszczę, ale zupełnie szlachetnie zazdroszczę. Całuję Cię, kochanie, Julia

[33] Córka Joanny Guze.
[34] Koleżanka Danieli.
[35] Ewa i Jarosław Marek Rymkiewiczowie.
[36] Wanda Żółkiewska – pisarka.
[37] Matka Artura Międzyrzeckiego.

18 XI 69 (kartka pocztowa przedstawiająca Łazienki)

Kochanie, jak się miewasz? Dziś deszcz i szaro, dzień bardzo listopadowy. Wczoraj wpadła Anna[38], wyczekuje dziś Jerzego[39], zaczynają się więc powroty do domu, myślę już z radością, że wkrótce Cię zobaczę. Daniel pobiegł teraz do Muzeum Historycznego, z rozwianymi połami peleryny. Pisałam Ci już, że wybór fragmentu nie jest taki spieszny, zrobimy to razem. Cóż jeszcze? Wyjechała Ewa[40], pewno ją gdzieś tam zobaczysz, jutro przyjdzie tapicer naprawić tapczan Danieli, który jest w smętnym stanie, poza tym – już chyba wszystko. Całuję Cię, kochanie. Jak się miewasz? Jak zdrowie? Uściski, Julia

22 XI 69

Kochanie! Przyszły dziś dwa! listy od Ciebie, a ponieważ jutro niedziela, odliczam jeden na dzień jutrzejszy z góry. Jakże się cieszę, że Cię zobaczę już wkrótce. Nawet wstrzemięźliwy Daniel pojękuje, że jak Tata będzie, to już będzie fajno. A dziś dzwonił Andrzej[41] i żalił się, że mu Ciebie bardzo brakuje. No, no! Kochanie, właśnie do nich idę i będą Kaziowie[42], którzy chwalili się, że dostali karteczkę. Taka karteczka mała rzecz, a jednak każdy jakoś na nią czeka. Czy o Justysi nie zapomniałeś? Skwierczały tu, że nic nie piszesz. Nowości wydawniczych na razie nie ma, ale i być nie miało. Czy jeszcze zdążę Ci coś napisać? Wyślę coś i jutro, abyś miał ode mnie stale jakieś wieści. Całuję Cię, kochanie, chwilowo tylko parę słów. Jula

[38] Anna Turowiczowa.
[39] Jerzy Turowicz.
[40] Ewa Fiszer – tłumaczka i poetka.
[41] Andrzej Kijowski.
[42] Maria i Kazimierz Brandysowie.

Artur Międzyrzecki

ADELAJDA

Czy prosto trup się trzyma czy przewraca w grobie
Trup jest trupem I jakie przymusza cię licho
Wynosić się nad trupa który siedzi w tobie
I także cię wyświadcza kiedy siedzi cicho

Żyj i nie gadaj tyle Wiadomo żeś z rzędu
I nie równy którego Adelajda zdmuchnie
Nie takich zuchów z nóg zwiały [illegible]
Każdy zdycha i każdy jednakowo cuchnie

Trup jak trup Nie kuś trupa ani nie drwij z niego
Byle czerep wiecznością szumi w nim ogłuchłego
Trup żeglarz dryfujący nie jest ci kolegą
Nie zna żeglugi trudnej kto sam nie jest truchłem

I nie pozna aż wiara go nauczy bieda
Rozdać się z rozrzutnością co głębię odurza
A kto sam siebie skąpi nic z siebie nie wyda
Poza zrzędzeniem kutwy i [illegible] tchórza

Tak rzecze Adelajda i gdy wzniesie kosę
Nie powstrzymasz jej czczą sztuczką ani bajką
Dąż że więc spać trupowi co chrapie trupim głosem
Nim się zakatrupiony pożenisz z Adelajdą

Ona ciebie bez reszty rozda i [illegible]
Drzewo trupim trupem będzie twój trup będzie drzewo
Wiatry [illegible] zapach grobu zmarszczką twojej twarzy
A skąd tu Adelajdy jest imię ja nie wiem.